Nr. 36 (473). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 3 września 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok X.

ŚWIATOWID

WYPŁATA WIELKIEJ WYGRANEJ W KASIE LOTERJI PAŃSTWOWEJ.



Ci, którzy już przestali martwić się kryzysem.
Jest takich w Polsce przeszło 1.000 osób rocznie, a od przyszłej loterji będzie ich około 1.500.

VII. MIĘDZYNARODOWY KONGRES HISTORYKÓW.



Uczestnicy Kongresu Historyków zwiedzają Wawel i Katedrę w Krakowie.

Warszawa, a później Kraków gościły historyków z całego świata, którzy zjechali do Polski na VII Międzynarodowy Kongres. Najwięcej przybyło Francuzów i Niemców. Otwarcie Kongresu nastąpiło w obecności p. Prezydenta Rzplitej.

Uczestnicy Kongresu nie taili swojego podziwu dla Polski. Wielu z nich po raz pierwszy dopiero poznało naocznie kraj, którego historja była niejednokrotnie przedmiotem ich studjów i dociekań. W zetknięciu się z polskiem społeczeństwem, z przedstawicielami polskiej nauki wyczuli oni, że mają do czynienia z narodem, „który idzie", z narodem żywym, mającym za sobą tysiącletnią historję i patrzącym z otuchą w przyszłość.

Szczególnie niezapomniane wrażenie wywarł na zagranicznych gościach stary Kraków i jego zabytki. Wielu uczonych zapoznawszy się ze skarbami Grodu Podwawelskiego, pozostało tam dłużej.

Z podziwem oglądano także kopalnię soli w Wieliczce, wspaniałe Tatry i przełom Dunajca w Pieninach.



Ostatnie posiedzenie Kongresu Historyków w sali Teatru Polskiego w Warszawie.

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowid"

W ANDORZE GORĄCO.



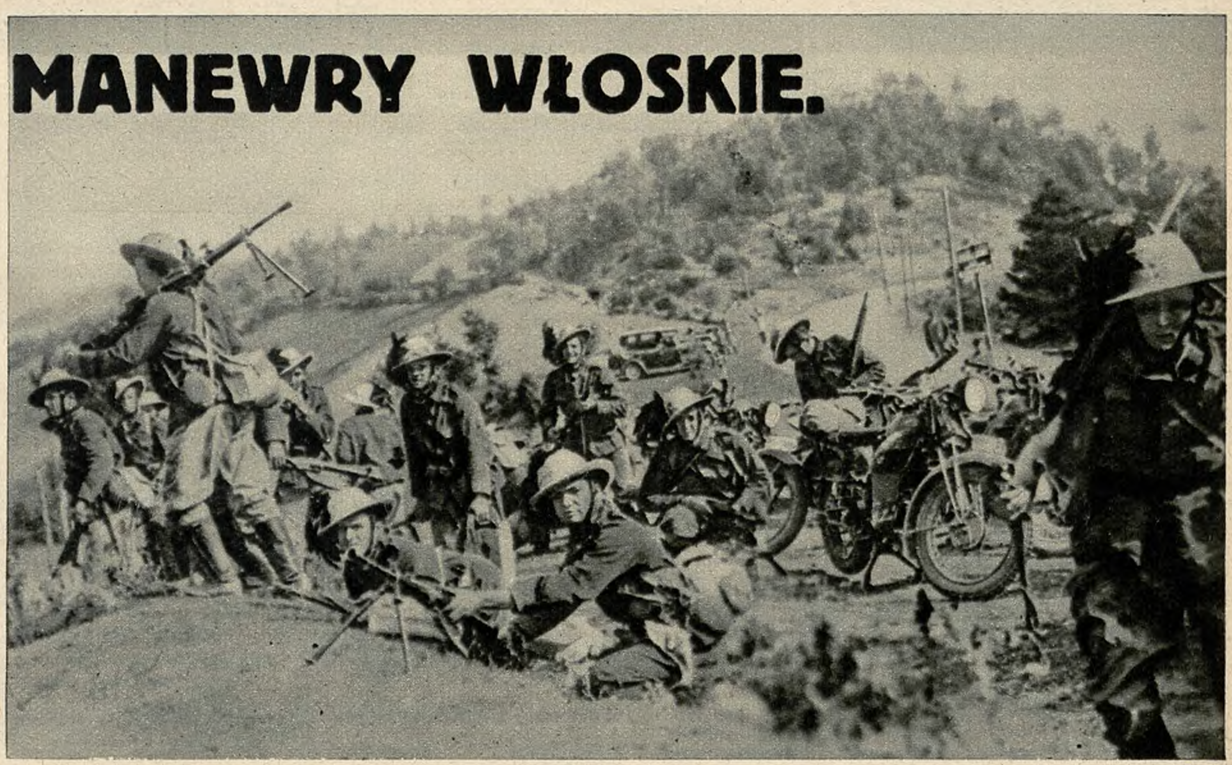
Prezydent republiki andorskiej w rozmowie z komendantem wojsk francuskim Boulardem.



Patrol francuski w Andorze.

W najmniejszej republice, jaka istnieje w Andorze, niepodległem państewku, leżącem na pograniczu Francji i Hiszpanji w Pirenejach, wrzało od dłuższego czasu. Poszło o to, że zarówno Francja, sprawująca protektorat nad Andorą, jak i Hiszpanja postanowiły zamknąć tamtejszego prezydenta Pallaresa za jakieś podejrzane machinacje pieniężne. Prezydent jednak, czując oparcie w swoim ludzie, ani myślał o złożeniu władzy. Równocześnie na porządek dzienny wysunęła się sprawa reformy wyborczej. Dotąd bowiem prawo głosowania mieli tylko ojcowie rodzin, obecnie zaś wysunięto postulat, aby przysługiwało ono wszystkim, którzy ukończyli 25 rok życia. Żądaniu temu sprzeciwił się nietylko prezydent, ale także biskup hiszpański z Urgel, do którego djecezji należy Andorra. Koniec końcem, aby położyć kres bałaganowi, wkroczyli żandarmi francuscy. Ta inwazja nieprzyjacielska zjednoczyła całą Andorrę. Wszyscy bez wyjątku protestują przeciw naruszeniu niepodległości Andorry a przedewszystkiem przeciwko jej rozbrojeniu. Żandarmi bowiem odebrali broń urzędnikom celnym i tamtejszej policji, no, i obsadzili granice, wbijając przez to samo nóż w serce Andorry.

MANEWRY WŁOSKIE.



Zmotoryzowane wojska włoskie w Alpach piemonckich. Zdjęcia Ag. Scherl, Berlin.

W tych dniach odbyły się w Alpach piemonckich wielkie manewry armji włoskiej, w których wziął udział także Mussolini, interesując się żywo ich przebiegiem. Mussolini jest bowiem żołnierzem z krwi i kości, który rzemiosła tego wyuczył się na froncie. Powołano go do służby wojskowej dnia 31 sierpnia 1915 r. W dwa tygodnie później, jako prosty żołnierz znajduje się na Monte Nero. Zimę wypada mu spędzić w okolicach niedostępnych, w krainie wiecznego śniegu. Chrzest ogniowy otrzymuje Il Duce od austrjackich dział 28 cm. Niebawem zostaje mianowany kapralem za sumienne pełnienie obowiązków i za pogodę ducha, jak mówi rozkaz pułkowy. W 1917 roku w czasie instruktorskiego strzelania z miotacza min, następuje eksplozja pocisku



Kawalerja włoska, przechodząca przez most.

w lufie i Mussolini odnosi 44 ran. W szpitalu odwiedza go król. Mussolini o pobycie swoim na froncie napisał pamiętniki, które tłumaczone są na wszystkie ważniejsze języki świata. Wynika z nich jedno. Ten kapral 11-go pułku bersaljerów spełnił swoją powinność, umiał i chciał być żołnierzem, który walczy i krwawi za ojczyznę, który sile przeciwstawia siłę. I dlatego w przemówieniu swojem na manewrach wezwał żołnierzy, aby przedewszystkiem byli silni. Nie potrzeba dodawać, że manewry włoskie są zwrócone swem ostrzem przeciwko Francji. Pomimo bowiem paktu czterech stosunki włosko-francuskie są dalej naprężone. Sabaudja, Korsyka, Tunis i inne ziemie francuskie są temi terenami, po które pożądliwie wyciąga się ręka włoska.

POMIĘDZY SZTUKĄ A ARTRETYZMEM.

MISTRZ ARTUR RODZIŃSKI NA RZYMSKIM PARNASIE.



Trzej znakomici muzycy Toscanini (pierwszy od lewej), nasz rodak Artur Rodziński, dyrektor opery w Cleveland (obok) i dyrektor Molinari (pierwszy od prawej), zasięgają porady u dra Rinaldi'ego w Piazze koło Sieny, uchodzodzego za jednego z najlepszych specjalistów od artretyzmu i reumatyzmu. *Ag. Fot. „Światowida"*

Bawi w Rzymie w charakterze gościa znakomitych włoskich muzyków Respighiego, członka włoskiej Akademji i Molinariego, dyrektora Augusteo, nasz fenomenalny kapelmistrz-mistrz dr Artur Rodziński, który za oceanem, obok Stokowskiego, wysoko niesie sztandar glorji Rzeczypospolitej.

Korespondent Wasz uważał za swój obowiązek i zaszczyt zarazem uzyskać wywiad z wybitnym polskim muzykiem dla „Światowida".

Mistrz Rodziński przyjmuje nas w salonach hotelu Eden, tak, jak przyjmuje się kogoś z rodziny.

— Cóż Mistrza sprowadza do Wiecznego Miasta?

— W przejeździe do kraju ojczystego, za którym tęsknię zawsze, po roku pracy na ziemi amerykańskiej, zatrzymałem się w Italji na kurację u specjalisty dra Rinaldiego w Piazze, który cudownie leczy z artretyzmu wszystkich, a przedewszystkiem dyrygentów. Ponieważ leczyli się tam także Toscanini, Respighi i Molinari — zaprosili mnie, aby ich odwiedzić w Rzymie, co też uczyniłem.

— Może mi mistrz opowie, w jaki sposób dostał się do Stanów Zjednoczonych na tak wybitne stanowisko, jakie dziś zajmuje?

— Bardzo chętnie. Siedem lat temu dyrygowałem w Operze Warszawskiej. Po spektaklu podszedł do mnie elegancki, przystojny mężczyzna i zaproponował mi wyjazd do Ameryki. Był to Stokowski, kapelmistrz Filadelfijskiej Orkiestry, dziś wielka sława za oceanem.

W roku 1925 wyjechałem do Filadelfji i przez 3 lata pracowałem ze Stokowskim, dając się poznać amerykańskim muzykom. Gdy córka znakomitego dziennikarza amerykańskiego ś. p. Curtissa, założyła Curtiss-Institute of Music, a na dyrektora powołała naszego znakomitego rodaka Józefa Hofmanna, zorganizowałem przy tymże Instytucie klasę orkiestralną i operową. Zostałem też dyrektorem Filadelfia Grand Opera Company, w której śpiewali kolejno wszyscy artyści Metropolitain Opery.

W wolnych chwilach objechałem z gościnnymi występami wszystkie wielkie miasta Stanów Zjednoczonych, dyrygując w takich miastach, jak. N. York, Detroit, Waszyngton, San Francisco, Los Angelos, Baltimore et. cet. W Los Angelos zaprosił mnie do siebie multimiljoner Clark, właściciel wielkiej orkiestry i po gościnnem dyrygowaniu jego zespołu, zaproponował kontrakt na 4 lata. — Propozycję przyjąłem i pozostałem w pięknej Kalifornji. Tam też dyrygowałem w Operze i Hollywood Bowl symfoniczne koncerty, na które uczęszczało po 25.000 ludzi. W stolicy filmu widział mnie przy pulpicie inny miljoner amerykański Severance, założyciel wspaniałej orkiestry w Cleveland. Dał mi jeszcze lepsze warunki, niż miałem w Kalifornji i zrobiłem kontrakt na lat 5 na stanowisko dyrektora clevelandskiej orkiestry.

— Wiem, że Mistrz, jako wielki patrjota, propaguje muzykę polską za oceanem. Czy może mi Mistrz powiedzieć, jak to wygląda w praktyce?

— Z największą przyjemnością. Przedewszystkiem przy koncertach gościnnych staram się umieszczać w programie naszą muzykę, a ponadto raz na rok urządzam specjalnie cały jeden wieczór muzyki polskiej. Tak też w roku zeszłym, w marcu, urządziłem w Los Angelos cały wieczór polski z udziałem Pawła Kochańskiego, który wykonał koncert skrzypcowy Szymanowskiego, a w programie mieliśmy nazwiska takie, jak: Karłowicz, Noskowski, Moniuszko, Paderewski etc. —

— A co Mistrz sądzi o polskiej muzyce współczesnej?

— Interesuje mnie specjalnie narybek. Młodsze pokolenie błyszczy wybitnymi talentami, jak: Maklakiewicz, Kondracki, Perkowski, Palester, Wójcicki, a specjalnie Maciejewski. Są to siły wielkie o bogatej indywidualności i Jutro należy bezwzględnie do nich. Polacy jako odtwórcy, dzisiaj są bezkonkurencyjni. Przyrost młodych sił jest olbrzymi.

— Jak mi wiadomo, Szanowny Mistrz zajmuje poważne stanowisko jako krytyk muzyczny w wielkiej prasie amerykańskiej. Co może mi Mistrz powiedzieć o prasie polskiej?

— Chyba tyle, że możecie być dumni ze swego koncernu „I. K. C.". Jest to tak wysoko postawione wydawnictwo pod względem artystycznym, informacyjnym i redakcyjnym, że prasa światowa może z was brać wzór. Takie wydawnictwo, jak „Światowid" — jest bezkonkurencyjne.

Na tem skończyliśmy nasz wywiad z fenomenalnym Rodakiem, gdyż sława Italji, akademik Respighi przybył do hotelu, aby zabrać ze sobą mistrza Rodzińskiego na obiad, który wydał na jego cześć w swej podmiejskiej willi, zapraszając przytem cały świat artystyczny Rzymu. — — —

Gustaw Lawina.

LATARNIK.



W odległości pięciu godzin jazdy okrętem od Bremy znajduje się na pełnem morzu, wybudowana na skale latarnia morska, zwana „Czerwonym piaskiem", która wskazuje parowcom właściwą drogę do portu. Raz na osiem tygodni przybija do tej pustelni okręt, który latarnikowi przywozi żywność (na zdjęciu), pocztę i gazety. Trzeba naprawdę silnych nerwów, aby na tem odludziu wytrzymać przez dłuższy czas.

MISS KRYNICA.

Pragnąc utrzymać swe czołowe stanowisko każde, nawet najgłośniejsze zdrojowisko, musi nietylko reklamować skuteczność swojej kuracji, lecz także iść za postępem czasu w urządzaniu rozmaitych imprez. Bo i kuracjusz chce się zabawić, a zresztą nietylko kuracjusze stanowią frekwencję zdrojowisk. Tak i Krynica, „perła naszych wód“ dostarcza swoim gościom wszelakich atrakcyj. Bezpośrednio przed „festivalem“, po raz pierwszy w Krynicy urządzonym, odbył się wybór „królowej Krynicy“. A trzeba przyznać, że sąd „jury“ był bardzo sprawiedliwy. Wśród wielu współzawodniczek p a l m ę pierwszeństwa zdobyła 16-letnia p. Trawińska, godność „wicemiss“ zaś przyznano p. dr. Brennerowej ze Lwowa.



Panna Halina Trawińska zdobyła tytuł „miss Krynicy“ na rok 1933.



„Wicemiss Krynicy“ dr Brennerowa ze Lwowa

ZDJĘCIA Z. GARZYŃSKIEGO – KRYNICA

TO I OWO.

W KRAINIE ŚWIĘTYCH WĘŻÓW.

Włoski dziennikarz, Mario Appelius, który odbył dłuższą podróż po Indjach, tej egzotycznej krainie tajemnic, tak opisuje swój pobyt w lesie zwanym „lasem żmij i wężów“:

„Znajdujemy się na północ od Kalkuty, na drodze do Dardżilingu. Jest nas dwóch Europejczyków, maharadża z Kaparthalu i mała armja tubylców ‚służących nam jako tragarze, robotnicy i rębacze. Namioty rozbiliśmy na przestrzennej polanie.

Naokoło naszego obozu palą się duże ogniska, spełniające dwojaki cel, najpierw ten, że służba gotuje sobie przy nich obiad, a powtóre ten, że odstrasza dzikie zwierzęta, ukryte w otaczającej nas ze wszech stron dżungli.

Miejscowość obfituje w różne padalce, węże i żmije.

Najniebezpieczniejsze z nich, to kobra, czyli okularnik. Razem z niemi żyją również białe skorpiony, zabijające człowieka jadowitemi ukąszeniami w ciągu pół godziny i olbrzymie pijawki, które w 15 lub 20 sztuk, przyczepiwszy się do nóg śpiącego wędrowca, wypijają z niego krew do ostatniej kropli.

Niezliczone zwierzęta tworzą codzienne pożywienie gadów. Nawet wielkie koty nie ujdą przed ich pościgiem. Pantera naprzykład potężnem uderzeniem łapy miażdży padalce i węże, lecz w walce z większemi gadami ulega. Z szybkością błyskawicy gad obwija się wokoło drapieżnika i wpija się zębami w jego ciało.

Zwierzę ryczy wściekle, rzuca się, kręci, tarza po ziemi. Wszystko napróżno. Żywy pierścień



Pochód przez dżungle,

ścieśnia się coraz bardziej, coraz mocniej i wkońcu pantera pada bez sił, nieruchoma. Wtedy gad zwija się na trupie pokonanego przeciwnika. Gest ten przypomina gladjatora,stawiającego nogę na piersi zwyciężonego.

Kobry i inne węże jadowite byłyby niepodzielnymi panami dżungli indyjskiej, gdyby natura w swej dążności od utrzymywania harmonji, nie była zaludniła lasu malutkiem zwierzątkiem, mangusta.

Stworzonko to mści się na żmijach za ludzi i za inne zwierzęta. „Mangusta“ podobna do wyrosłego szczura, zabija codziennie mnóstwo mniejszych i większych wężów, nie z głodu, lecz dla przyjemności.

Groźna kobra, postrach ludzi i bestyj, nie zdoła się ocalić, gdy na łeb jej skoczy mangusta i zapuści swe ostre zęby tam, gdzie u wężów koncentruje się nerw życia.

Nie popuści mściwe stworzenie prędzej, dopóki gad nie legnie bez ruchu, niby próżna opona samochodowa.

Jeżeli tylko rozlegnie się triler mangusty, wszystkie żmije uciekają, mangusta jednak wydaje triler dopiero na sekundę przed atakiem.

Całą noc polowaliśmy na panterę i chcieliśmy się wyspać. Niestety, to niemożliwe. Jakieś tajemnicze trucizny rozkładają nam krew, papieros smakuje gorzko, pragnienie pali, a woda w terenach ciepła. Leżymy w hamakach bez siły, prawie bez woli.

W głębszej ciszy oko spostrzega w otoczeniu każde najdrobniejsze poruszenie. Widzę rzeczy, które uważam za gałązki, za liście, te jednak zaczynają się nagle ruszać, posuwają się, wiją i skręcają. Słychać syczenie. To żmije, żmije ciemno-szare, białawe, srebrne, żmije z kapeluszem, z okularami, żmije i tylko żmije.

Wtem rozlega się wycie. Jeden z hindusów został podczas snu ukłuty przez żmiję. Ryczy z przerażenia. Doktor biegnie do niego z podręczną apteczką.

Noga nieszczęśliwca spuchnięta. Maleńkie, czarne kółko wskazuje miejsce ukąszenia. Kropla krwi wypłynęła z tej maleńkiej rany. Lekarz przypieka ją gorącem żelazem, pacjent traci przytomność,

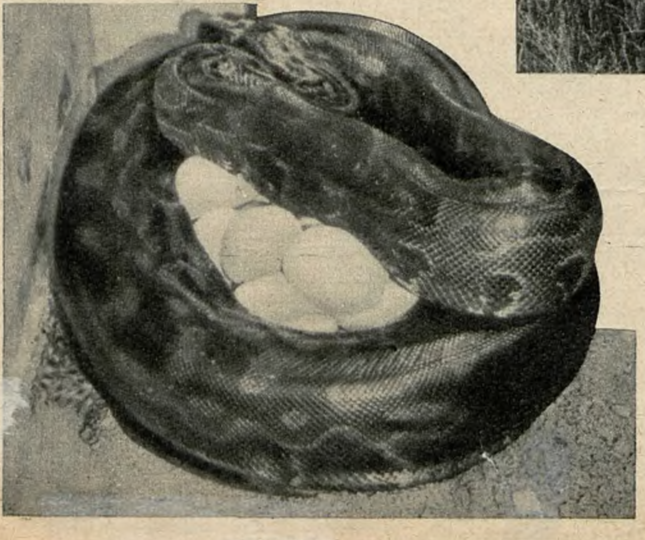
Nie było ratunku, trucizna działa bardzo prędko. Gwałtowne kurcze wstrząsają ciałem biedaka, oczy oślepły. Wkońcu ostatni silny rzut, skurcz twarzy i ciało się wypręża. Spokój uroczysty wygładził rysy trupa.

Nasze europejskie sumienie nękane jest myślą, że nieszczęśliwiec właściwie z naszej winy zmarł, ponieważ nam się zachciało polować w dżungli.

W Afryce czarni uważają w takich wypadkach białych za morderców i nieraz trzeba się przed nimi bronić.

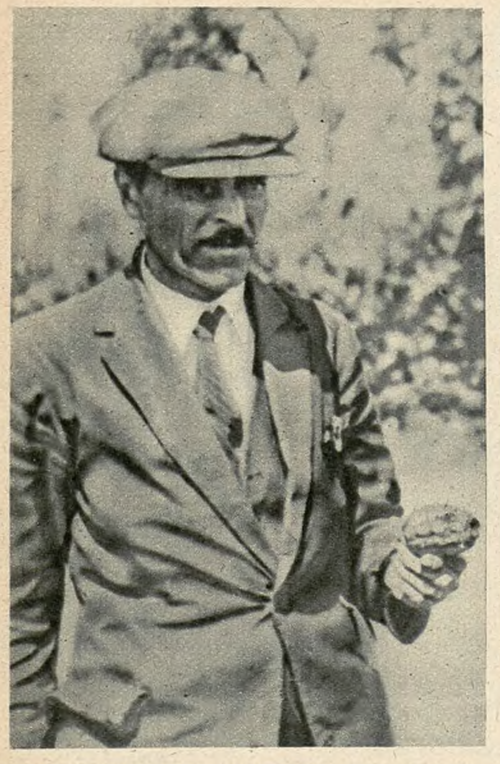
Tu inaczej. Hindusi upatrują w całem tem zajściu złe fatum. Tak biali, jak i oni są w ręku przeznaczenia zabawką. Hindusom śmierć nie wydaje się nieszczęściem, jest ona dla nich zjawiskiem naturalnem w porządku rzeczy.

Nas jednak dżungla w tej chwili przepaja nienawiścią. Odczuwamy jej okrutność i potęgę.“



Drzemiący pyton.

SPACER PO ŚWIECIE.



NA ŚLADACH WIELKIEJ WOJNY. Na polach d'Aire-sur-la-Lys w departamencie Pas de Calais nastąpił pożar gazów, wydobywających się z amunicji, zakopanej tam w czasie wojny światowej. Dla zabezpieczenia ludności ewakuowano ją z zagrożonych obszarów i rozpoczęto akcję ratunkową przy pomocy wojska i oddziałów straży pożarnej, które usiłują ogień ugasić. Akcja ta jest bardzo utrudniona, ponieważ w każdej chwili może nastąpić eksplozja amunicji i granatów ręcznych. Na zdjęciu Michał Petryczeńko, jeden z kierowników w akcji ratunkowej, trzymający w ręku granat ręczny. Wide—World Photos—Paris.



JESZCZE JEDNA PARADA. W Berlinie urządzono jeszcze jedną masówkę (na zdjęciu), tym razem pod hasłem sportu. Zebrało się zgórą 100.000 brunatnych koszul, które przedefilowały przed Karolem Ernstem, dowódcą oddziałów szturmowych grupy Berlin-Brandenburg. Po zawodach sportowych zabrzmiało 1.000 trąb orkiestry, którą dyrygował kapelmistrz Krümmel. Na uroczystości tej nie brakło także ks. Augusta Wilhelma.



WĘGIERSKI SPOSÓB NA SZALONYCH KIEROWCÓW. Na gościńcu, prowadzącym z Budapesztu do jeziora Błotnego, na niebezpiecznym wirażu, gdzie niejednokrotnie zdarzały się katastrofy, spowodowane nieostrożnością kierowców, umieściły władze ostatnio na słupie pogruchotany automobil, pod którym widnieje napis: „Powoli jechać, bo inaczej śmierć". Przydałoby się i u nas na skrzyżowaniach poustawiać takie gruchoty, gdyż wtedy byłoby może mniej katastrof.



NA FRONCIE AUSTRJACKIM. W toczącej się wojnie pomiędzy Austrją a Niemcami nie nastąpiła żadna zmiana. Niemcy atakują rząd Dollfussa zapomocą nieprzebierającej w środkach agitacji a kanclerz broni się, szukając oparcia nietylko w swoich szeregach, ale także zagranicą. Podobno udało mu się przekonać Mussoliniego w czasie ostatniej swej podróży do Rzymu, że istnienie niepodległej Austrji jest warunkiem bezpieczeństwa Włoch. Na zdjęciu ochotnicy austrjaccy, maszerujący do koszar. Zgłosili się oni do służby pomocniczej w policji, która obecnie ma dużo do roboty z tropieniem hitlerowców i dlatego kadry jej musiały być zwiększone.



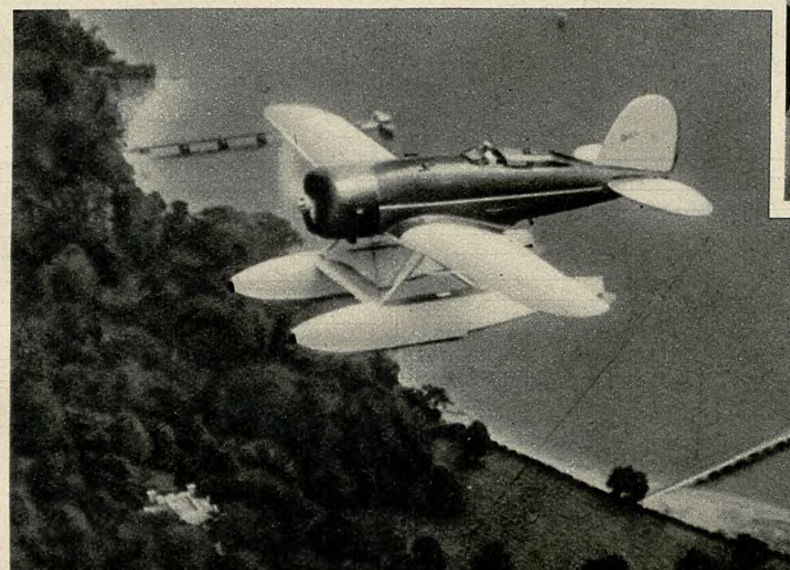
ŻYDZI RADZĄ. W Pradze nastąpiło otwarcie XVIII-go kongresu sjonistów, którego dokonał prezydent egzekutywy Nahum Sokołow (na zdjęciu). Głównym przedmiotem obrad było tragiczne położenie żydów w Niemczech, którzy stracili wszelkie podstawy egzystencji w tem państwie i będą musieli gdzieś wyemigrować. Przypuszczalnie 150 tysięcy przyjmie Palestyna a reszta rozprószy się po świecie.



REWOLUCJA NA KUBIE. Wybuch tej rewolucji spowodowały dyktatorskie rządy prezydenta Machado i ciężkie położenie gospodarcze, w jakiem znalazła się ta wyspa, żyjąca przeważnie z eksportu cukru, na który obecnie nie ma zbytu. Wobec groźnej postawy tłumów, prezydent Machado zbiegł a miejsce jego zajęli nowi ludzie. Na zdjęciu główny przywódca rewolucjonistów niejaki Porra, niesiony na ramionach swoich zwolenników po obaleniu dyktatury.



ON ZADOWOLONY, ONA NIE. W stanie Texas w St. Zjedn. A. P. szczególnie dał się we znaki bandyta Barrow, który stał na czele bandy złoczyńców. Z trudem udało się policji osaczyć bandytów w górach. Bronili się oni rozpaczliwie, tak, że musiano stoczyć z nimi formalną bitwę. Dopiero kiedy od kuli padł Barrow, reszta bandytów zbiegła. Udało się ująć tylko żonę Barrowa (na zdjęciu), którą odprowadzono do więzienia.



LINDBERGH TU — LINDBERGH TAM. Niedawno rozeszły się pogłoski o tragicznej śmierci znakomitego lotnika Lndbergha, który miał zginąć na Labradorze, szukając drogi najdogodniejszej z Ameryki do Europy przez Labrador i Islandję. Na szczęście pogłoski te okazały się fałszywemi. Lindbergh żyje i dalej odbywa swe loty, kreśląc na mapie ów szlak, którym może niedługo będą kursować samoloty pasażerskie linji Londyn—Nowy Jork. Posługuje się on hydroplanem o bardzo wielkim zasięgu (na zdjęciu).

WIDMO ZE SZNUREM.

NIESAMOWITA HISTORJA Z NIGERJI.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty Nigerja, posiadłość brytyjska w Afryce zachodniej, należała do najdzikszych i najniebezpieczniejszych okolic na świecie. Niedostępna, bagnista stanowiła teren, na który biały człowiek tylko rzadko zapuszczał się, wiedząc, że czeka go tam pewna śmierć, jeżeli nie od krajowców, to skutkiem zabójczego klimatu. Dziś stosunki zmieniły się. Anglicy pobudowali tam drogi, założyli osiedla i miasta, przecięli dżungle linjami kolejowemi, a przedewszystkiem wytępili ludożerstwo i handel niewolnikami. Najdłużej tej akcji cywilizacji opierali się murzyni z plemienia Aro. Lud ten, odznaczający się wspaniałą budową ciała i wielką inteligencją, pochodzi zdaje się z Konga i wtargnął zgórą przed stu laty do Nigerji, do obszarów, zamieszkałych przez plemiona Ibo, które ujarzmił. Badacze przypuszczają, że Arowie powstali wskutek skrzyżowania misjonarzów francuskich z murzynkami. Misjonarze ci przybyli w ostatnich dziesiątkach lat XVIII wieku do Konga. Skoro jednak wybuchła rewloucja, nowy rząd, usposobiony antyklerykalnie, pozostawił ich swojemu losowi i zaprzestał udzielać wszelkiej pomocy. Zczasem garstka tych misjonarzy zdziczała, przyjęła obyczaje murzyńskie i dała początek nowej rasie. Arowie byli wyznawcami bóstwa Ju-Ju. Głównem ich osiedlem był Aro-Chuku. Cały kraj Ibo poddany był władzy ośmiu kapłanów. Najgłośniejszym z nich był niejaki Kamalu. W jego zakonspirowanej siedzibie znajdowało się bóstwo Ju-Ju, na cześć którego mordowano co jakiś czas murzynów. Egzekucje te odbywały się z wyrafinowanem okrucieństwem. Ofiarę naprzód batożono na śmierć, później pokolei obcinano jej ręce i nogi, a na końcu głowę, tułów zaś pieczono na rożnie i zjadano. Władze angielskie, dowiedziawszy się o tych zbrodniach, postanowiły wystąpić przeciwko nim z całą stanowczością. Niestety, akcja ta była utrudniona, ponieważ murzyni, obawiając się zemsty kapłanów, nie chcieli zdradzić, gdzie znajdują się świątynie Ju-Ju. Dopiero po długich zabiegach udało się jednemu z oddziałów wtargnąć do kryjówki arcykapłana Kamalu, aresztować go i osadzić w więzieniu. Przy tej sposobności spalono także bóstwo Ju-Ju. Miało ono wygląd ogromnej kuli, o obwodzie dwóch metrów i składało się z czaszek, piszczeli, najrozmaitszych szmat, traw i innych przedmiotów. Prawie przez 20 lat trwała walka pomiędzy kapłanami Ju-Ju a Anglikami i zakończyła się zwycięstwem tych ostatnich dopiero po wielkiej wojnie.

Z relacyj podróżników i urzędników angielskich w Nigerji wynika, że kapłani Ju-Ju posiadali jakąś wiedzę tajemną, zapomocą której wywierali wpływ na zwierzęta i przyrodę. I tak np. jeden z nich, grając na fujarce wywabiał hipopotamy, które u jego stóp kładły się jak baranki. Inni znowu umieli zaklinać węże, w ten sposób, że nasyłali je na pewną osobę. Osoba taka, gdziekolwiek się ruszyła, wszędzie natrafiała na najjadowitsze węże, które niewiadomo skąd zjawiały się nagle w pokoju, w łóżku, a nawet w butach.

To też trzeba było mieć silne nerwy, aby w walce tej nie skapitulować. Anglicy jednak, nie oglądając się na nic, palili konsekwentnie wszystkie świątynie i wtrącali kapłanów do więzienia.

Czciciele Ju-Ju trzymając w postrachu cały kraj, ciągnęli z ciemnoty swoich poddanych ogromne zyski. Nikt nie znał dnia, ani godziny. Pewnego bowiem dnia zjawił się u wybranego wysłannik kapłanów i oznajmiał mu, że został przeznaczony na ofiarę i że ma się stawić w tem a w tem miejscu. Ofiara, chociaż wiedziała, że czeka ją okrutna śmierć, szła z rezygnacją i bez oporu na miejsce stracenia. — Zabierano także młode dziewczęta, które umieszczano w domach publicznych, przeznaczonych dla kupców cudzoziemskich.

Jednym z głównych pogromców kapłanów Ju-Ju był angielski urzędnik, zwany przez krajowców Abaja-Aka, czyli człowiek owłosiony. — Z niezłomną energją palił on świątynie i pakował kapłanów do więzienia, nie zważając na ich przekleństwa. Ale raz nawet ten żelazny człowiek stracił panowanie nad sobą — doświadczył bowiem przygód, które mogły nawet najzdrowszego człowieka przyprawić o chorobę serca.

„Razu pewnego, opowiada on, znajdowałem się w podróży inspekcyjnej w okręgu Bende. Odbywszy sąd we wsi Egugu, skierowałem się do Insuingo, gdzie znajdował się dom noclegowy. Przeznaczony dla Europejczyków, ponieważ od dawna nikt w tym domu nie mieszkał i przypuszczałem, że będzie tam brud i niechlujstwo, wysłałem gońca do Isuingo, rozkazując, aby oczekiwali mnie naczelnicy plemion, a także, aby dom wysprzątano.



Kapłan murzyński w otoczeniu bożków.

Kiedy wieczorem przybyłem tam, ku mojemu zdziwieniu, ani jeden z naczelników nie powitał mię, przed domem zaś noclegowym stała gromada murzynów, która właśnie ukończyła sprzątanie. Miny ich były bardzo niepewne. Z nieufnością patrzyli, to na mnie, to na dom. Naczelnicy, których kazałem przemocą do siebie sprowadzić, także kręcili się, bełkocąc: „dom dobrze, nie bardzo".

Ku mojemu zdziwieniu, także tragarze pospiesznie rzucili rzeczy i znikli jak kamfora. Nawet najwierniejszy mój służący, zapaliwszy lampę, zbladł jak ściana i zaczął mówić:

— Ja prosić wielkiego pana, nie spać w ten zły dom.

Wyśmiałem go i zabrałem się do przygotowania łóżka. Przedtem jeszcze obszedłem wszystkie pokoje. Były zupełnie puste. Pozamykałem także drzwi i okna. Jedno mnie tylko uderzyło. W powietrzu czuć było jakiś trupi zapach, który potęgował się z każdą chwilą i przyprawiał mnie wprost o mdłości. Przeszukałem znowu wszystkie ubikacje, zaglądałem do wszystkich kątów, przypuszczając, że gdzieś musi leżeć rozkładający się trup, ale nic podejrzanego nie znalazłem.

Na wszelki wypadek położyłem obok siebie rewolwer i postanowiłem czuwać aż do świtu. Zbliżała się już północ, a nic się nie działo. Stopniowo ucichły krzyki i wrzaski murzynów i zrobiła się śmiertelna cisza. Tylko od czasu do czasu połyskiwało światło ognisk, palonych na polu. Ale i ono niebawem zgasło i pokój mój ogarnęła zupełna ciemność.

Zaczęły mi się kleić oczy i, machnąwszy na wszystko ręką, postanowiłem spać. Nagle zbudził mnie jakiś szelest. Najwyraźniej słychać było, że ktoś odsuwa krzesło od ściany i rzuca przedmiotami. Zerwałem się z łóżka, zaświeciłem lampę, ale w pokoju nikogo nie było

— Nic innego, tylko murzyni chcą mnie temi szelestami wystraszyć. Ale nie uda im się to, pomyślałem sobie.

Znowu przeszukałem dom. Nie było w nim żywej duszy. Wybiegłem wtedy na pole, nazbierałem piasku i wysypałem nim pokój, aby, gdy ktoś wtargnie znowu do pokoju, odbiły się jego ślady na podłodze.

Byłem ogromnie zdenerwowany, ale nie wypadało mi wołać służby, gdyż straciłbym przez to całą swoją powagę. Minęło z jakie pół godziny, poczem znowu położyłem się do łóżka i trwałem w półśnie.

W tem usłyszałem kroki. Ktoś cicho zbliżał się do łóżka, niosąc ze sobą ów nieznośny, trupi zapach. W świetle lampy ujrzałem starego murzyna. Miał twarz pomarszczoną i pokrytą wrzodami od ospy. Całe ciało było w rozkładzie. Na łysej czaszce widniały rany i wrzody. Z przegniłych ust wychylały się żółte, zepsute zęby.

Nigdy nie zapomnę oczu tego człowieka-widma. Patrzyły one na mnie zimno, martwe i nieruchome. Starzec ten był zupełnie nagi i wlókł za sobą kawał sznura. Chciałem krzyczeć. ale głos ugrzązł mi w gardle, a paraliż objął moje ciało. Nie mogłem ruszyć ani nogą, ani ręką, zimny pot oblewał mi czoło. Widmo tymczasem zaczęło się wspinać po ścianie, pragnąc dostać się na dach. W tym momencie wyskoczyłem z łóżka i krzyknąłem:

— Guzu! co znaczy stój.

Ale człowiek trup, jakby nie słyszał, spokojnie drapał się znowu po ścianie. Wtedy wypaliłem dwukrotnie do niego z odległości dwóch kroków. Chybić nie można było. Ale widmo, jakby go nie imały się kule, wspinało się dalej. Jeszcze raz strzeliłem, a widząc, że to nie skutkuje, uciekłem jak szalony i zacząłem krzyczeć na moich ludzi. Zerwali się ze snu i otoczyli mnie wnet zwartem kołem. Zapaliliśmy pochodnie. Wtedy kazałem ludziom obstawić cały dom, a sam udałem się do środka z żołnierzami, aby aresztować intruza. I znowu przeszukaliśmy cały dom, nie znachodząc nikogo. Także na piasku nie odbiły się żadne ślady.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że nikt już z nas nie spał tej nocy. Nazajutrz poleciłem tłumaczowi, aby wyszukał mi kogoś we wsi, ktoby mi mógł opowiedzieć historję domu noclegowego. Nie wątpiłem bowiem ani chwili, że za wypadkami temi kryje się jakaś niesamowita historja. W chwilę potem zjawił się u mnie młody, inteligentny murzyn, wychowanek misji katolickiej, który bawił tutaj na urlopie. Z ust jego dowiedziałem się, że przed laty Anglicy, ścigając czcicieli bóstwa Ju-Ju, odkryli jego świątynię w Isuingo i postanowili ją spalić a na jej miejscu wznieść hotel. Od zamiaru tego starał się odwieźć ich stary kapłan, ale nadaremno. Świątynia znikła z powierzchni ziemi. Wtedy stary kapłan oszalał z wściekłości. Zaczął na dom i białych ludzi rzucać przekleństwa, a wreszcie pewnego dnia powiesił się w tym domu. Nikt nie śmiał odciąć jego ciała. Wisiało ono rozkładając się i nareszcie samo spadło. Od tego czasu w domu tym zaczęło straszyć. Ilekroć ktoś z Europejczyków w nim nocował, ścigał go trupi odór i straszyły jakieś zjawy.

Anglik, wysłuchawszy tej relacji, nie namyślał się długo. Oświadczył murzynom, że dom jest brudny i że wobec tego musi zostać zniszczony. Murzyni polecenie to wykonali skwapliwie. Dom spłonął. Od tego czasu nikt nie słyszał o pojawieniu się zjawy ze sznurem. Znikła raz na zawsze. Ale kto potrafi wytłumaczyć te niesamowite zjawiska?

DEMON RUCHU.



Labirynt szyn i białe obłoki parowozów.

Wiener Photo Kurier.

Godzina ranna. Na dworcu pusto. Pociąg odchodzi dopiero za godzinę. Długie jego cielsko, złożone ze smukłych pullmanowskich wagonów rozciągnęło się prostą linją na torze. Nieliczni podróżni poruszali się bez pośpiechu, spokojnie wymieniali słowa, spacerując wzdłuż pociągu.

Wysokie sklepienie dworca, podparte żelazną konstrukcją łuków i żeber, przepuszczało przez białawe szyby matowe światło, wypełniające przestrzeń słabym półmrokiem.

Olbrzymie wskazówki dworcowych zegarów skokami odmierzały równe odstępy czasu. Na przodzie pociągu wznosił się lekki słup pary i dymu z krótkiego komina lokomotywy. Maszynista i jego pomocnik wsparci na drzwiczkach tendra, rozprawiali o swoich codziennych sprawach.

Potworny kadłub parowozu zamarł bez ruchu, spokój i bezwład spowinął lśniące i czarne jego kształty. Łączniki kół splotły się w jakiś dziwny sposób. Na grzbiecie kotła, w pobliżu klapy bezpieczeństwa, małym kurkiem uciekał pionowy, cienki strumień białej pary, ginąc w mroźnem rannem powietrzu. Kompresor z sykiem sprężał powietrze w hamulcach, pryskając parą i wodą w nieszczelnych miejscach połączeń.

Czas biegł. Zwolna coś się zmieniało. Jak z pod ziemi zjawił się urzędnik w czerwonej czapce. Maszynista i jego pomocnik przerwali rozmowę. Pierwszy z nich wyciągnął gruby zegarek i sprawdzał czas z dworcowym zegarem. Podróżni szybciej wymieniali słowa. Buforowe sprężyny pullmanów zdały się prężyć w oczekiwaniu czegoś, co za chwilę miało nastąpić.

Biały słup dymu czerniał i gęstniał. To pomocnik maszynisty „dawał na piec". Kompresor zdawał się szybciej pracować. Jeszcze chwila. Ostatnie słowa pożegnania.

Lewa dłoń wpatrzonego w zegar maszynisty lekko podciągnęła ku sobie ramię przepustnicy parowej. Potworne płuca obu cylindrów zaciągnęły się prężną parą. Chwilę trwały zmagania nieznanych sił. Skłębione parowe zwoje energji cieplnej rozprężały się w zamkniętych przestrzeniach cylindrów. Łączniki niby mocarne ramiona wparły się w korby kół. Krótki i głuchy dech. Buchnął czarny, mocny słup dymu i czerwone koła ciężko potoczyły się po szynach. Czarny wąż wysunął się z pod żelaznych łuków dworca. Dudniły zwrotnice. Chrzęst zgniatanych szyn, otwarte ramiona semaforów, ich spokojne zielone oczy zawirowały przez chwilę i znikły. Rytm wzmagał się. Łączniki z jakąś matematyczną dokładnością splatały, krzyżowały się i znów rozchodziły z powrotem.

Ostatnie domki, budka kolejowa, mała podstacja i długi wąż wagonów znalazł się wśród pól, między aleją słupów telegraficznych z wytkniętym żelaznym szlakiem szyn.

Rozpętały się przedziwne moce. Niebaczny człowiek wyzwolił demona ruchu. Dech maszyny stawał się coraz krótszym. Biało-szary pióropusz kładł się ponad dachami wagonów. Kadłub lokomotywy drgał jak rumak smagany biczem i leciał tak straszliwy, z wytrzeszczonemi bez wyrazu ślepemi oczami lamp w bezkresną dal. Stalowe cięgła łączników z szaleńczą szybkością przecinały powietrze. Buchał żar spaleniska, kocioł zdawał się lada chwila pęknąć i bluznąć rozpętanym żywiołem. Ślepy bezwład rzucał masą wagonów, wprawiając je w dziwne chaotyczne drgania i drżenia.

Migały zielone płachty pól, i ciemne ściany lasu, migały słomiane strzechy chałup i czerwone plamy osiedli ludzkich, a pociąg leciał w bezmiernym i ślepym rozpędzie hen tam, gdzie proste linje szyn skupiają się i łączą na dalekim horyzoncie.

Edward Biłobran (Lwów).



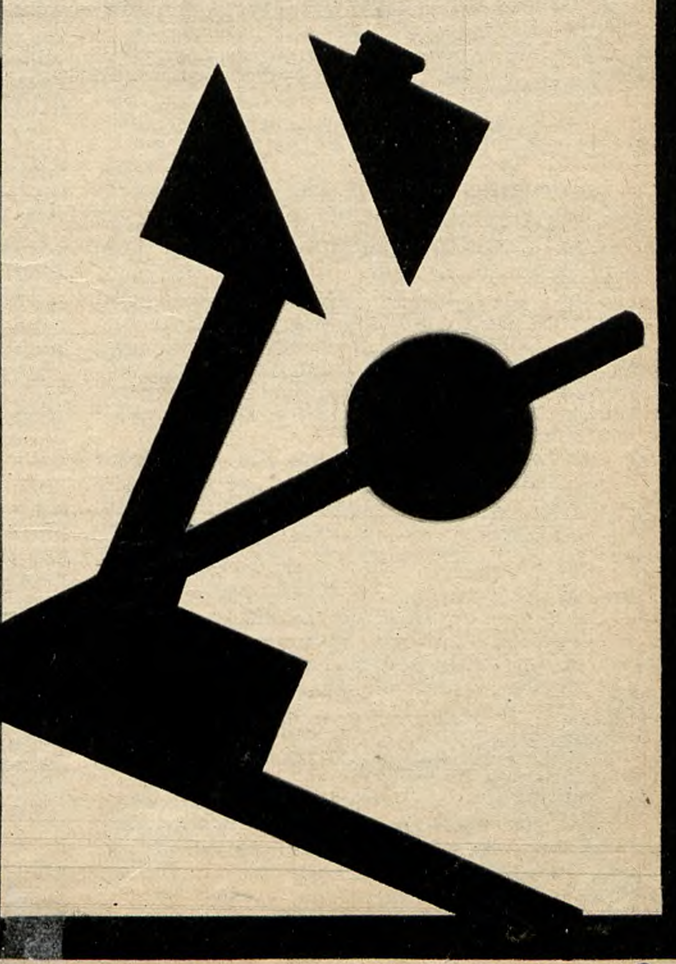
Drzemiące koła parowozu.
Fot. E. Olszaniecki — Lwów.



Przejazd zamknięty!
Wiener Photo Kurier.



Na dworcu kolejowym.
Wiener Photo Kurier.



NA ŚLADACH AMUNDSENA.

Pisma doniosły ostatnio, że niedaleko wysp Niedźwiedzich rybacy odnaleźli resztki rozbitego samolotu Amundsena.

A więc dopiero po pięciu latach ocean Lodowaty wydał światu tajemnicę śmierci bohaterskiego odkrywcy — jakby zemstę Biegunów na człowieku, który tylokrotnie je pokonał.

Amundsen był jednym z najszlachetniejszych i najbardziej bezinteresownych pionierów cywilizacji. Już jako młody, ubogi chłopak przysiągł sobie, że on to właśnie będzie pierwszym odkrywcą tych niezbadanych dotychczas i tajemniczych okolic na kuli ziemskiej, jakiemi są oba bieguny — że on to będzie pierwszym człowiekiem, który ukoronuje zwycięstwo ludzi nad przyrodą, stawiając stopę tam, gdzie przed nim nikt jeszcze jej nie postawił.

W owym czasie nauka światowa przywiązywała, i to słusznie ogromne znaczenie do odkryć okolic polarnych. Już poprzednie podróże licznych badaczy, Nansena czy Andreego (tragicznie zakończone) wykazały, jak wielkie zdobycze meteorologja i fizyka czerpać mogą z tych wypraw. — Dziś nawet, chociaż już tyle ekspedycyj zdołało zda się najdokładniej, poznać Arktydę i Antarktydę, (ostatnia wyprawa Byrda) przywożąc za każdym razem olbrzymi materjał naukowy — prace te bynajmniej nie są wyczerpane. W tym roku znów szereg państw europejskich, m. in. i Polska, urządzały ekspedycję do krajów polarnych, celem dalszego uzupełniania wiadomości i badania magnetyzmu ziemskiego i wpływów, jakie okolice podbiegunowe wywierają na zmiany atmosferyczne kuli ziemskiej.

Gdy Amundsen rozpoczął swoje przygotowania do wyprawy biegunowej, spotkał się, jak to zwykle zresztą bywa z niedowierzaniem i brakiem zaufania. (Mimo jednak ogromnych trudności i wbrew woli rodziny, która chciała, by studjował medycynę, udało się Amundsenowi, zadłużywszy się i zrujnowawszy doszczętnie, zakupić niewielki stateczek i przystosować go do celów wyprawy. Jako Norweg przywykły do twardego klimatu północy, doskonale zdawał sobie sprawę z trudności przedsięwzięcia. Z niezłomnym uporem i energją, kierowany jakby jakąś intuicją, potrafił Amundsen obmyślić najściślej i najcelowiej wszystkie szczegóły wyprawy. Statek zaopatrzył świetnie w niezbędne zapasy żywności, odzież i przybory. — Dobrał sobie załogę takich samych, jak on straceńców, gotowych poświęcić życie, byleby tylko dopiąć upragnionego celu. Gdy już miał wyruszyć na podbój Arktyku, nagle lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że słynny podróżnik amerykański Peary przed kilku dniami dotarł do bieguna północnego, a więc tem samem, rekord, który zamierzał zdobyć Amundsen, przypadł w udziale komu innemu; chwilowo wyprawa jego w tamte strony stała się bezcelową. Ale ten dumny potomek nieustraszonych Wikingów niełatwo zrażał się przeciwnościami. Biegun północny zdobyty, to on dla Norwegji zdobyć musi biegun południowy. I nie wahając się ani chwili, wytknięty na północ dziób stateczku swego „Gioa", zawraca na południe i po dwóch miesiącach trudnej nawigacji dopływa do skalistych, wiecznym lodem pokrytych brzegów Antarktydy.

Straszną zimę i noc podbiegunową przebyli śmiałkowie na statku, gdy zaś tylko zajaśniało słońce i rozpoczął się sześciomiesięczny dzień, nie zważając na 30 stopniowy mróz, ruszyli na podbój. Od upragnionego celu oddzielała ich przestrzeń półtora tysiąca kilometrów — przestrzeń pokryta odwiecznym lodem, przecięta w dwóch miejscach pasmami niedostępnych gór, wznoszących się do 4.500 m. nad poziom morza. A w dodatku ileż jeszcze niebezpieczeństw czaiło się po drodze — straszliwe mrozy, burze i huragany, zasypane śniegiem i niewidoczne zdradliwe przepaście, groźne, niemal prostopadłe, lodem pokryte skały. Wszystkie te jednak niebezpieczeństwa zwalczyli, przedarli się przez wszystkie zapory i po 7 tygodniach niewysłowionych trudów dotarli do bieguna, by zatknąć w dniu 17 grudnia 1911 r. flagę norweską w centrum Antarktydy.

Droga powrotna odbyła się już bez przeszkód i Amundsen jak triumfator powrócił do ojczyzny.

Lecz nieustraszony podróżnik bynajmniej nie spoczął na laurach, zaczął on przygotowywać nową wyprawę, tym razem chciał przelecieć aeroplanami nad biegunem północnym od Norwegji do Alaski. Wielka wojna jednak stanęła na przeszkodzie i dopiero w 1925 r. udało mu się zrealizować zamierzoną wyprawę. Wyruszył na dwóch specjalnie do tego celu skonstruowanych samolotach i jak zwykle w najdrobniejszych szczegółach opracował całe przedsięwzięcie. Spodziewano się zdobyć niezwykle ciekawy materjał i oczy całego świata zwróciły się z napięciem na oba aluminiowe ptaki zdobywcy biegunów.

W dniu 21 maja 1925 r. wzbił się w powietrze i z tą chwilą przez długie tygodnie słuch o nim zaginął. Liczono, że w ciągu 50 godzin dotrze on do Alaski, tymczasem minął cały maj, a śmiałków nie było.

Wszczęte poszukiwania nie dały żadnych wyników i już zdawało się, że Amundsen przepadł. Nagle po przeszło miesiącu powrócił. Okazało się, że jeden z samolotów uległ katastrofie, drugi zaś z powodu defektu motoru zmuszony był lądować w bezkresnych śniegach i krach lodowej pustyni. Motor jednego z samolotów z trudem naprawiono, z powodu jednak zasp śnieżnych, aeroplan, który osiadł na wielkiej krze lodowej, nie mógł wzbić się w powietrze. Przez trzy tygodnie załoga omdlewając ze znużenia kopała ogromny wąwóz w śniegu, by umożliwić start maszynie. Wąwóz ten musiał mieć sześć metrów głębokości, dwanaście szerokości i pięćset długości. Łatwo sobie wystawić, jak straszliwego wysiłku trzeba było, by wykonać tę pracę w kilku ludzi przy trzaskającym mrozie. Wykonano ją jednak i podróżnicy zdrowo i cało powrócili do Norwegji. Lecz tym razem nie udało im się przelecieć nad biegunem.

Niczem nie zniechęcony Amundsen już w roku następnym rozpoczyna drugi taki sam lot sterowcem „Norge" wraz z włoskim pułkownikiem Nobilem. Lot ten mimo niezwykłych trudności i niebezpieczeństw uwieńczony zostaje powodzeniem i po kilku dniach przeleciawszy nad biegunem „Norge" osiada na Alasce. Rezultaty wyprawy były niezwykle bogate, zbadano bowiem z lotu ptaka i sfotografowano całą zupełnie dotychczas nieznaną przestrzeń pomiędzy Alaską a biegunem. — Kilkakrotnie cudem niemal lotnicy uniknęli katastrofy, przedzierając się przez burze śnieżne.

Ostatni jego lot tragicznie zakończony, pełen poświęcenia i bohaterstwa, był jakby ukoronowaniem całego szlachetnego żywota.

W lipcu 1918 r. — gdy tylko Amundsen dowiedział się, że sterowiec „Italia" gen. Nobilego uległ katastrofie w pobliżu północnego bieguna, postanowił lecieć na ratunek rozbitków. Mógł on czuć słuszny żal do Nobilego, gdyż ten smutnej pamięci Włoch całą zasługę udanej wyprawy „Norge" wyłącznie sobie przypisywał, chociaż niewątpliwie sukces ten tylko dzięki Amundsenowi osiągnął. Wielkoduszny jednak Norweg zapomniał o urazie i wiedząc, że byli jego współtowarzysze znajdują się w niebezpieczeństwie, pospieszył im natychmiast z pomocą. Wraz z lotnikiem francuskim Franciszkiem Guibaudem wystartował ze Szpicbergu do lotu, z którego już nie wrócił. Szukano go długo, ale bezskutecznie.

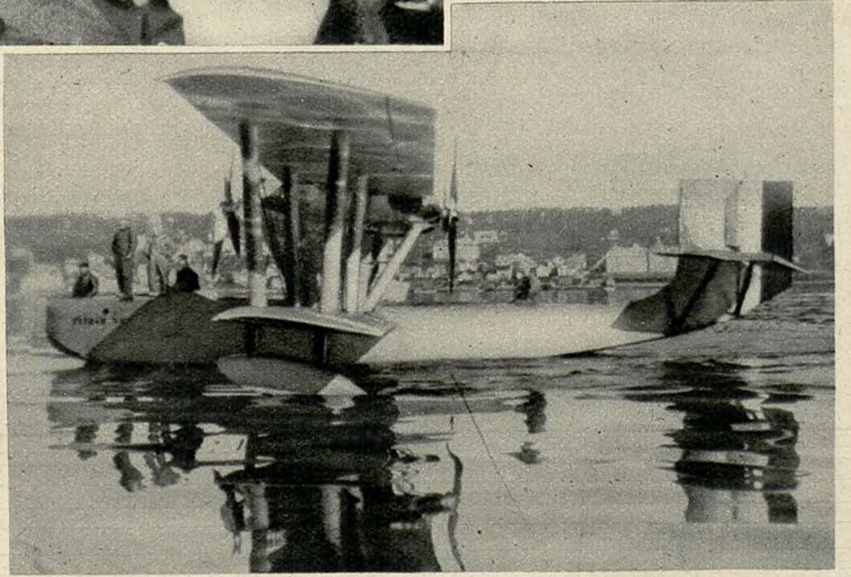
30 sierpnia 1928 r. jeden z parowców wyłowił niedaleko wysp Lafockich oderwany pływak samolotu Amundsena. To było wszystko, co zdołano odnaleźć. Odzywały się coprawda głosy, że może jednak Amundsen nie zginął, że może błąka się jeszcze po bezmiarach Arktyku; przyjaciele Amundsena wierzyli, że tak niezwykły i tak doświadczony podróżnik napewno zdoła sobie dać radę. Ale z każdym miesiącem nadzieje te malały, wkońcu musiano zaprzestać poszukiwań i dopiero teraz, w pięć lat po katastrofie, groźny ocean wyrzucając szczątki rozbitego samolotu, doniósł ludzkości o śmierci wielkiego Norwega.



14 grudnia 1929 r. cała Norwegja uczciła pamięć Amundsena dwuminutowem milczeniem.



Amundsen ze swojemi dwoma adoptowanemi dziećmi Eskimosów. Zdjęcie z 1925 r. przed podróżą Amundsena do bieguna północnego.



Francuski samolot „Latham", na którym Amundsen odleciał w lipcu 1928 r. na ratowanie Nobilego. Aparat ten roztrzaskał się koło Wysp Niedźwiedzich i obecnie szczątki jego wyrzuciło morze.



BLOKADA RZEK WE FRANCJI.

We Francji wybuchł strajk pracowników i marynarzy żeglugi rzecznej. Aby nie dopuścić do podjęcia ruchu, strajkujący zablokowali wszystkie rzeki i kanały w departamencie Nord Aisne i Szampanji a także częściowo w departamentach środkowych. Dopiero silnym oddziałom wojska i policji udało się usunąć te zatory i przywrócić normalną komunikację. Największy zator znajdował się na rzece Cise pod Complecle, gdyż utworzony był z 2.000 statków i łodzi, powiązanych sznurami. Na zdjęciu patrole wojskowe nad Sekwaną, pilnujące porządku.

INTELIGENCJA SZYMPANSÓW.



Szympanse przywiązują się bardzo do ludzi i okazują na każdym kroku wdzięczność swoim opiekunom.

Nie ulega wątpliwości — tak twierdzi słynny pisarz angielski, Kipling, w swej „Księdze Dżungli" — że małpy przewyższają znacznie pod względem inteligencji słonie i psy, uchodzące za najmędrsze na świecie zwierzęta.

Do tego samego przekonania doszedł też inny uczony angielski, mianowicie dr Kohler, autor dzieła: „O umysłowości małp". Szczególną inteligencją odznacza się, według dra Kohlera, z pośród wszystkich małp szympans.

Przez długi czas obserwował dr. Kohler zachowanie się szympansów w specjalnie urządzonej na ten cel zagrodzie na Teneryfie.

Szympansy używały tam najzupełniejszej swobody i nie podlegały żadnej tresurze i pędziły żywot możliwie zbliżony do ich bytowania w rodzinnych dżunglach.

Uczony angielski sprawdzał inteligencję szympansów w rozmaity sposób.

Umieścił raz banan, szczególny ich smakołyk, wysoko nad ich głowami. Szympansy wykonywały najpierw rozpaczliwe skoki, aby dosiągnąć owocu, lecz wnet przekonały się, że w ten sposób niczego nie wskórają.

Wówczas „Sułtan", przodownik stada, poszedł po rozum do głowy, przyniósł znajdującą się w pobliżu skrzynkę, ustawił na właściwem miejscu i skoczywszy na nią, sięgnął po przysmak.

Następnego dnia umieszczono banan znacznie wyżej. „Sułtan" przekonawszy się, że jedna skrzynka już nie wystarcza, pobiegł po drugą, a gdy i wówczas „rusztowanie" nie było jeszcze dość wysokie — przyniósł trzecią i po tem rusztowaniu dostał się do ulubionego owocu.

* * *

Pies, chociaż uważany jest za bardzo inteligentne zwierzę, nie zwraca uwagi na odbicie swej podobizny w zwierciadle, natomiast szympans, stojąc przed lustrem, widocznie lubuje się widokiem swej postaci i stwierdziwszy, że poza lustrem nie ukrywa się jego sobowtór, lecz, że to, co widzi, jest wiernem odbiciem jego własnej istoty, zachowuje się tak, jak człowiek, przybiera różne pozy, rozczesuje sobie włosy itp.



Szimpansy, jako kucharze.

* * *

U szympansów istnieje wielkie przywiązanie do człowieka.

W pewnej chacie na wyspach Malajskich — pisze dr. Kohler — zabito i ograbiono podróżnego, a ciało podróżnego zagrzebano opodal w ziemi.

Po kilku dniach, do oficera angielskiego, przechodzącego tamtędy podbiegł szympans i począł go natarczywie ciągnąć za spodnie. Nie mogąc się pozbyć natręta, oficer poszedł za nim. Szympans zaprowadził oficera na miejsce, gdzie widać było świeżo skopaną ziemię. Tam począł szympans szybko grzebać.

Oficer, podejrzewając coś niezwykłego, szybko zawiadomił policję, a ta w oznaczonem przez małpę miejscu, znalazła trupa zamordowanego człowieka — jej dawnego pana, do którego widocznie bardzo się przywiązała.

Gdy aresztowano pewnego wyrobnika, podejrzanego o dokonanie tej zbrodni, szympans z taką furją rzucił się na niego, że ten zdjęty strachem, przyznał się do zbrodni.

* * *

Prezes angielskiego Towarzystwa naukowego, profesor Charles Sherington, opowiada zabawne zdarzenie, świadczące o niezwykłej inteligencji szympansa.

„Codziennie — mówi — odwiedzałem szympansy, które trzymałem w pokoju obok mej pracowni.

Pewnego dnia, gdym opuścił ten pokój, przyszło mi nagle do głowy, podpatrzeć, niewidziany, co też moje małpy robią w mej nieobecności. Schyliłem się więc i zajrzałem do ich pokoju przez dziurkę od klucza.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdym ujrzał spoglądające na mnie przez tę samą dziurkę, oko szympansa!

Widocznie więc i szympansowi zachciało się zajrzeć przez dziurkę — i uprzedził mnie nawet w zaspokojeniu swej ciekawości".

* * *

Dr. Kellog, profesor psychologji na uniwersytecie w Indjanopolis (w Stanach Zjednoczonych), dowodzi na podstawie studjów naukowych że młode szympansy, zaledwie 7-miesięczne, wykazują daleko większą zmyślność, aniżeli 10-miesięczne dziecko ludzkie.

Młody szympans rozwiązywał skomplikowane węzły prędzej niż dziecko, bawił się lepiej i inteligentniej, posłuszniejszym był na wezwanie i zdradzał więcej orjentacji wśród swego otoczenia, aniżeli dziecko. Jedynym przymiotem u dziecka, górującym nad małym szympansem, były postępy w wydawaniu głosów, zwiastujących pierwsze początki mowy.

Cóż jednak z tego, że dziecko 10-miesięczne zdradza mniejszą żywotność i zmyślność od małego szympansa, kiedy to samo dziecko niebawem zaczyna mówić i nabywać coraz więcej świadomości, a mały szympans pozostanie na tym samym mniejwięcej stopniu rozwoju, aż do końca życia.

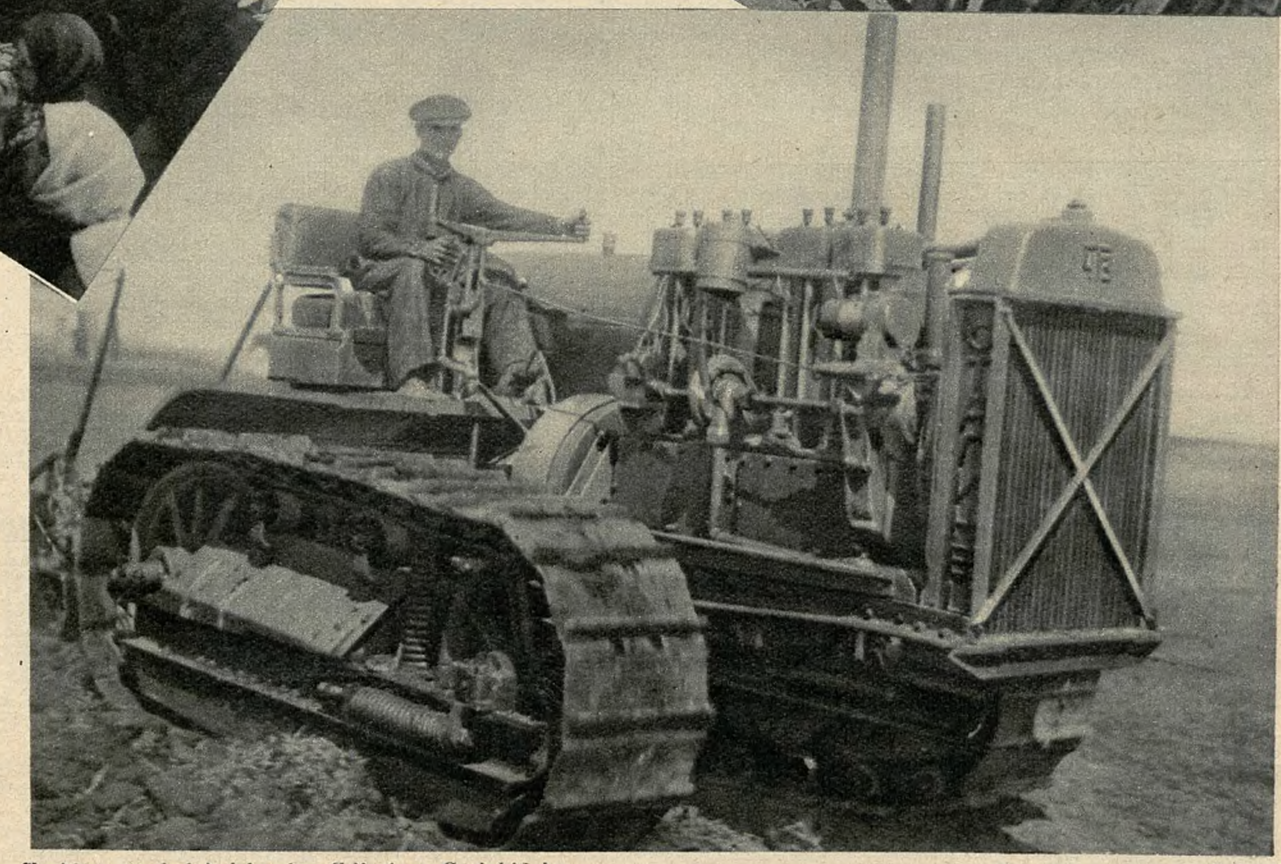
NARODZINY KOŁCHOZÓW



Członkowie kołchozu „Czerwony partyzant“ z nad Dolnej Wołgi przy wspólnym obiedzie. Nikt nie prowadzi indywidualnego gospodarstwa, gotuje się dla wszystkich, jak w koszarach, naraz.



Członkowie kołchozu „Kalinowka“ na Kaukazie udają się do pracy w pole.



Traktor, symbol kołchozów. Zdjęcie z Czelabińska.

Wszystkie zdjęcia Ag. „Unionbild.

W „rejispołkomie“ odczytano poufny rozkaz z Moskwy, który brzmiał: „Rejon borysopolski ma podnieść kolektywizację wsi do 60%...“. Oczywiście nie zapomniano dodać, że kolektywizacja ma być „ściśle dobrowolna“.

Zrozumienie tej „ścisłej dobrowolności” określonej zgóry i znowu ściśle w % — wprowadziłoby w kłopot każdy organ władzy, ale nie „rejispołkom“, którego generalny sekretarz, bez żadnego namysłu i trudu, zakreślił bezzwłocznie w długim spisie miejscowości rejonu wszystkie wsie i przysiółki, które powinny jeszcze w tym roku zapalić się entuzjazmem dla idei kolektywizacji.

W tem stadjum plan należy uważać właściwie za wykonany, bo reszta roboty jest już całkiem bagatelna. Rozchodzi się teraz tylko o wysłanie „na miejsca“ odpowiedniej ilości — zaopatrzonych w mandaty emisarjuszów. Tych dostarczy „komsomoł” i fabryczni „szturmowcy“. Wieś sama, właściwy objekt tej społecznej manipulacji, jest już dawno urobiona i to w 100% dla kolektywizmu. Najwięksi jego wrogowie, bogaci „kułacy“, zostali w zupełności „odkułaczeni”, t. j. kończą swą marną egzystencję w tajgach Syberji, czy Murmania. Pomniejsi „kułacy“ — ci, którzy zdołali uniknąć tego losu, siedzą jeszcze na swojem, ale bez wiary w jutro i bez chęci sprzeciwu. A reszta wiejskiego społeczeństwa, t. j. bezrolni — „biedniaki“, parobcy — „batraki” i małorolni — „sieredniaki“ — ci powinni być z natury rzeczy za kolektywizacją. Zresztą niechby nie byli...

Emisarjusz „ispołkomu“ nie wdaje się z reguły w takie drobnostkowe dociekanie indywidualno-oportunistycznych zachcianek... — „Rejispołkom — mówi — zaszczycił was, towarzysze, swojem wyróżnieniem, uważając, że dorośliście już do roli członków kolektywu, najwyższej formy wiejskiego społeczeństwa i proponuje założenie w tutejszej wsi rolniczej arteli *). Kto przeciw, towarzysze — niech podniesie rękę“. — Czyż trzeba dodawać, że na takie wezwanie nie drgnie ani jedna ręka, o ile nie należy do samobójcy.

Kolektyw wiejski w zasadzie gotów; pozostaje tylko spisanie zbiorowej umowy. Tekst jej według wzoru „Kołchozcentra“ odczytuje szybko, jednostajnym głosem emisarjusz.

Brzmi ona: Parobcy, bezrolni i małorolni wsi Siemionowska rejonu borysopolskiego dobrowolnie zrzeszają się w rolną artel, aby zorganizować wielkie gospodarstwo, odnieść pełne zwycięstwo nad „kułakiem“(?) i zagwarantować najwyższą wydajność pracy, oraz produkcji. Wszystkie granice i miedze, dzielące pola likwiduje się, a działki tworzą odtąd jeden „ziemny masyw“. Zwrot tych działek występującym z arteli — jest niedopuszczalny. „Uspołecznieniu“ podlega też cały inwentarz żywy i martwy, oraz zapasy ziarna; natomiast domy mieszkalne wywłaszczeniu nie podlegają. Zarząd i członkowie arteli zobowiązują się rozszerzyć powierzchnię siewów, wykorzystać wszelkie środki uprawy, oraz zakupić za swój i pożyczony kapitał traktory, maszyny i t. p. — celem mechanizacji gospodarstwa. Artel zobowiązuje się również zorganizować budownictwo socjalne (kluby, szkoły, elektrownie, kuchnie) i gospodarcze, oraz poprawić warunki życia członków. Członkiem arteli może być każdy, kto ukończył 16 lat życia, o ile nie należy do rodziny kułackiej. Każdy z wstępujących członków obowiązany jest wnieść wkładkę w wysokości 10% wartości całego majątku. Tylko dla parobków (batraków) ustala się ryczałt 5 rb.

Z otrzymanych obliczeń, na końcu roku dochodowego arteli, pokrywa się najpierw związane z gospodarstwem rozchody (budowle, zakup maszyn) i koszt utrzymania niezdolnych do pracy, a następnie wydziela się t. zw. „fundusz niepodzielny“ do 30% i „fundusz społeczny do 15%. Dopiero pozostałość(!!??) stanowi wynagrodzenie za pracę i udział członków, przyczem wynagrodzenie to opłaca się w ciągu roku w wysokości 50% obliczenia bądźto w naturze, bądź gotówką, a resztę wynagrodzenia (50% po skończeniu roku obrachunkowego w teorji do marca — w praktyce prawie nigdy).

Prace wszelkie mają być wykonane własnemi siłami (z wyjątkiem specjalnych), przyczem zarząd kolektywu ustanawia normy i ich ocenę według rodzaju zajęcia. (Podstawą obliczenia jest zatem akord, a jednostką pracy jest dzień pracy, który równa się np. orce konnej 1 ha, lub grabieniu ręcznemu 3 ha i t. p.).

Uchylanie się od pracy, oraz niechętne traktowanie obowiązków — uważane jest za zdradę kolektywizacji i popierania kułactwa, za które to przestępstwo zarząd może karać nawet wydaleniem z arteli (oczywiście bez zwrotu udziału i ziemi). Kierownictwo kolektywu sprawuje zarząd i komisja kontrolna, wybierana na ogólnem zebraniu raz do roku. Artel jako całość wstępuje w charakterze członka do jednego z kołchoznych związków i podlega jego kierownictwu. Z tym związkiem zawiera artel układ, w którym kontraktuje dostawę całej produkcji dla państwa, związek zaś zobowiązuje się wobec kolektywu do zaopatrzenia w środki produkcji i zorganizowania kredytowej pomocy“...

Emisarjusz skończył czytać, a chłopi podchodzą teraz do stolika i z trudnością rysują na papierze ciężko wypracowane podpisy. Wszystko odbywa się dobrowolnie, a nie brak i entuzjazmu w formie trzykrotnego „hurra“ — dla „marksizmu”, „tow. Stalina“ i nowonarodzonego kołchozu — powtórzonego bezwolnie za wysłannikiem „ispołkomu”.

Ale nastrój pozostaje mimo to zanadto poważny, rzecby można, ponury. Nie poprawiają go też zgryźliwe, choć zdaje się rzeczowe wyjaśnienia byłego djaka, dziś „sielkora“ **) figury ciemnej, niewiadomo komu służącej, ale niewątpliwie sprytnej i rozumiejącej się doskonale na tych tam „procentach“.

— Podpisaliście się towarzysze pod wielką sprawą — cedzi b. djak przez żółte zęby, uśmiechając się złośliwie do swego audytorjum, złożonego prawie wyłącznie z t. zw. „oportunistów“. — Dokonaliście czynu, na który może zdobyć się tylko prawdziwy proletarjusz. Ofiarowaliście wszystko, czego dorabiali się wasi ojcowie i wy przez lata całe, na rzecz komuny. Dziś wszystko to, co było wasze, jest już niewasze, a wy zrównaliście się dobrowolnie z parobkami i 16-letniemi dzieciakami. Myślę, że towarzysz Lenin uśmiecha się teraz do was z tamtego świata. Tu djak spuszcza oczy, prawdopodobnie, aby też nie parsknąć śmiechem, a po chwili ciągnie: „Teraz tylko zarząd musi dobrze gospodarzyć, bo jeśli zacznie stawiać te kluby, wieże, elektrownie, kupować traktory i utrzymywać niezdolnych, a potem potrąci jeszcze te 45% — tj. prawie połowę z dochodów, to do podziału może nie pozostać nic. A jeśli z tego „nic“ wydzieli wam dopiero znowu połowę, to może i trudno będzie przeżyć cały rok...

— Jak nie zapłacą, nie wyjdę na robotę — warczy któryś z chłopów, który prędzej od innych pojął tragiczne drwiny djaka.

— Tak nie mówcie — prostuje słodko b. djak — nie wyjść nie można, bo kołchoz policzy wam za nieprzepracowane dni rubelków tak z... 800, a że nic zapłacicie, wyproszą was z arteli, ale ziemi nie wrócą... bo ona już nie wasza...

W następne dnie, choć były to dnie powszednie, ciepłe i wiosenne, nie wyszła na pole ani jedna żywa dusza. Jakby im odebrano całą radość, z którą przyszli na świat. Czekali, niby gromada niewolników, na rozporządzenia zarządu, który tymczasem zbierał się opieszale na „pryncypalne“ narady. Wieś miała święto, zupełne święto. I miał rację złośliwy „sielkor“-djak, gdy pisał do powiatowej gazetki: „Rozentuzjazmowana ludność już trzeci dzień obchodzi narodziny Kołchozu, jak największe święto...“

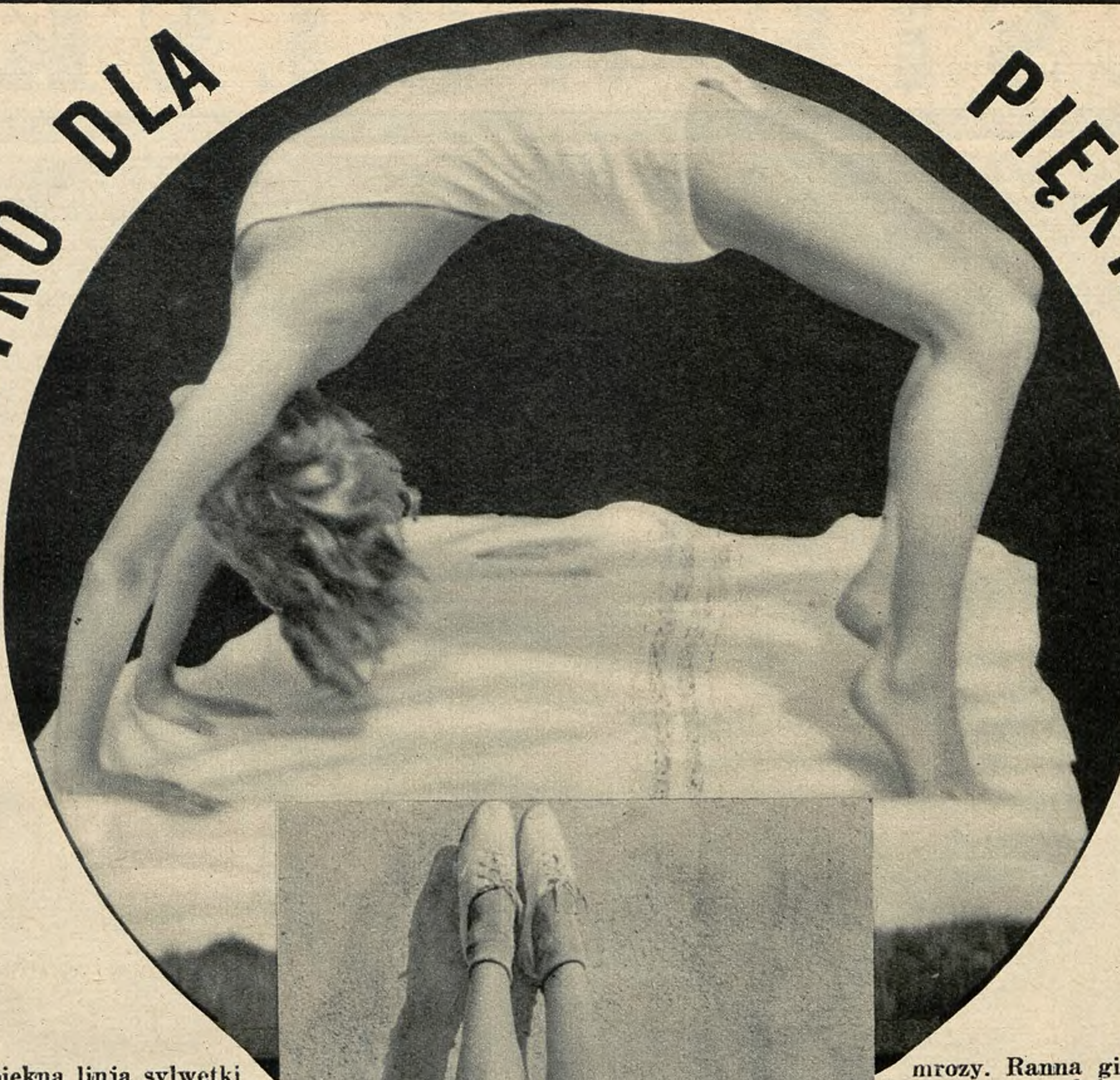
W.

---

*) artel — przejściowa forma kolektywu, będąca wstępem do zupełnej komuny.

**) „Sielkor“ — wiejski korespondent, zwykle konfident G. P. U.

WSZYSTKO DLA PIĘKNEJ LINJI.



Piękna budowa ciała, piękna linja sylwetki kobiecej, to postulat, któremu pragnie odpowiedzieć godnie współczesny świat kobiecy. I przy całej swej różnorakiej pracy zawodowej znajduje jednak wiele kobiet czas na kontynuowanie zabiegów, które pozwalają na wyrobienie i utrwalenie kultury fizycznej. Rzecz jasna, że prym w tym kierunku wiedzie świat artystyczny, w którym kobiety rozumieją, iż egzystencja ich zawisła od harmonijnej budowy ciała i utrzymania modzieńczego wyglądu możliwie najdłużej.

Rozumnie prowadzone ćwiczenia gimnastyczne i higjeniczny przytem tryb życia dają zawsze wyniki dodatnie, co najbardziej widocznem jest w przesunięciu granicy starzenia się kobiet. Świeżość i dobre samopoczucie fizyczne utrzymują również w świeżości władze umysłowe i cały system nerwowy, ów motor życia ludzkiego.

Lato sprzyja u nas najbardziej kontynuowaniu ćwiczeń gimnastycznych. Najlepiej nie odzwyczajać się od nich wcale, nawet, gdy nastaną chłodniejsze dni czy zimowe mrozy. Ranna gimnastyka przy otwartem oknie, uzupełniona kąpielą cieplejszą czy zimniejszą, zależnie od przyzwyczajenia, powinna być uprawiana przez wszystkie panie, które nie zapominają o obowiązkach wobec swego zdrowia i urody.

Gry ruchowe i sporty na wolnem powietrzu, zimą, czy latem, są dalszym postulatem higjeny współczesnego życia. I dla nich trzeba umieć znaleźć czas w najpracowitszym nawet trybie życia. Uprawiane w miarę i bez ambicyj rekordowych, budzą w nas radosne nastroje, wywołują radość i śmiech — tych boskich sprzymierzeńców poczucia zdrowia i siły.

Radość życia! Oto skarb bezcenny, którego szukamy przez całe życie wokół siebie i we wszystkich dziedzinach pracy... Nie omijajmy jej tam, gdzie czeka nas wesoła i płocha, uśmiechnięta i beztroska, wiodąca w kraj dziecinnej pustoty, spełnionych dziecięcych snów!

J. Z.

Poniżej:

Lekcja sztucznego wiosłowania, uprawiana przez Maureen O'Sullivan.

Obok:

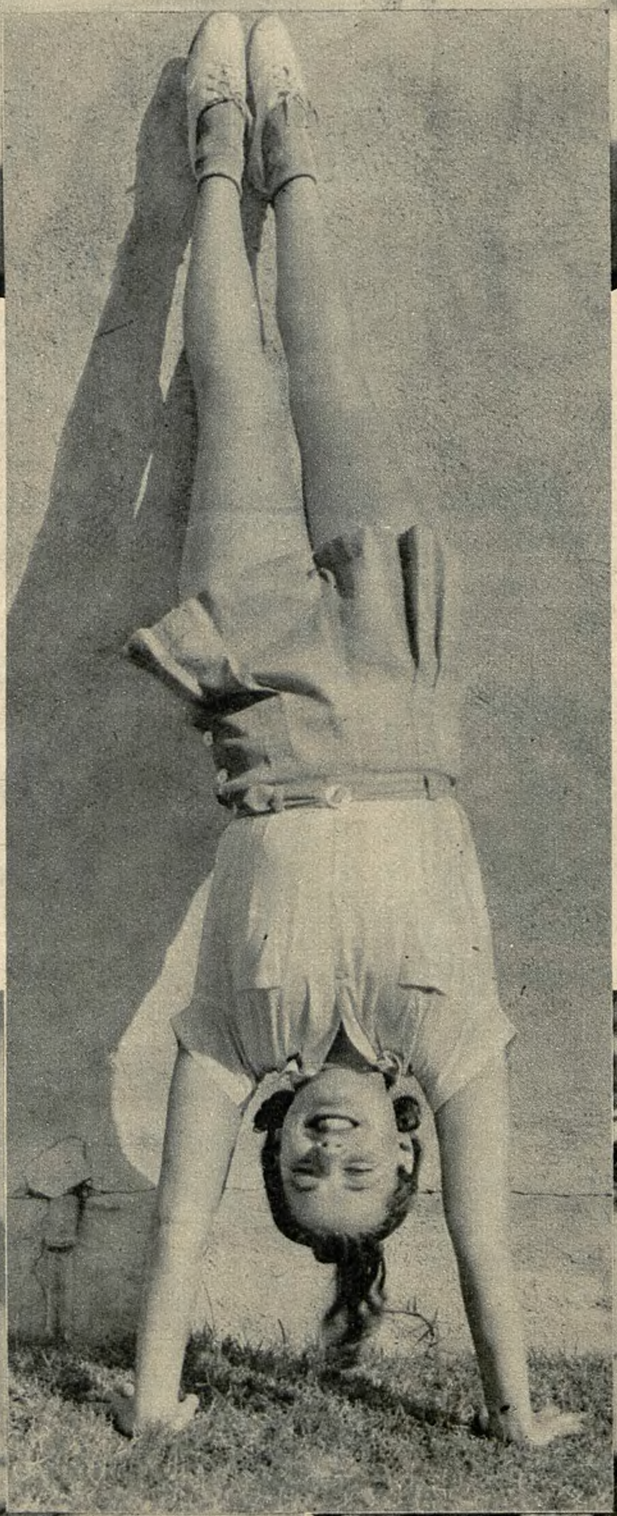
Ćwiczenia w rzucie kulą służą do wyrobienia elastycznych ruchów.

Poniżej:

Jak pobudzić żywe krążenie krwi i działać na zachowanie dobrej cery.

W kole:

Bardzo trudne ćwiczenie dla wyrobienia pięknej, smukłej linji ciała.





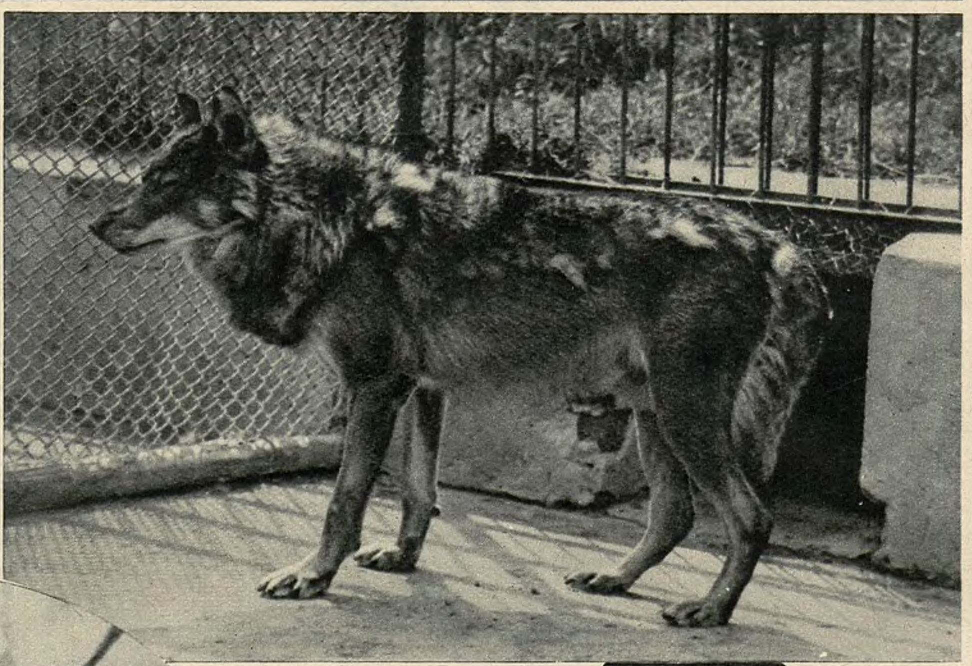


W LESIE WOLSKIM.



Główny dozorca zwierzyńca w Lesie Wolskim.

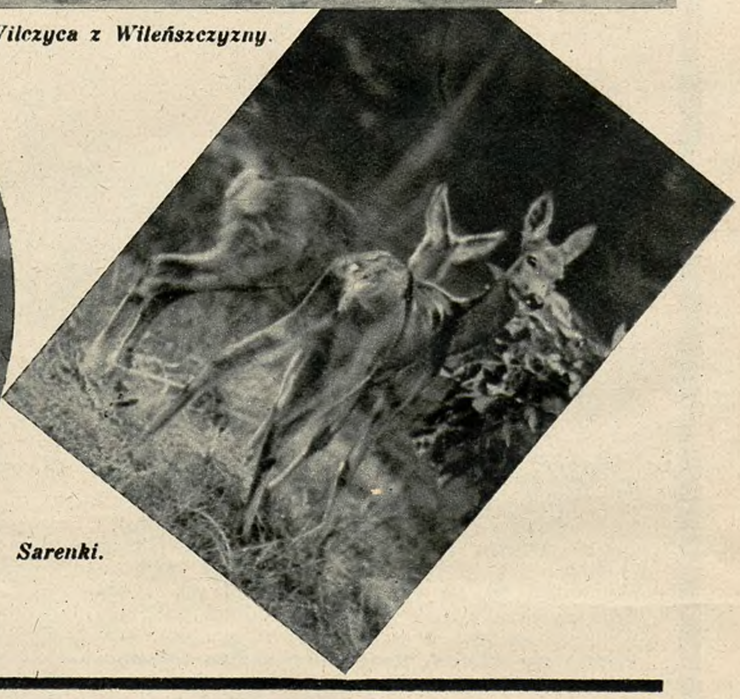
WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID".



Wilczyca z Wileńszczyzny.



W kole: Jeleń, dar p. Prezydenta Rzeczypospolitej.



Sarenki.



Borsuki. Jest ich sześć — igrają, aż miło.

W odległości kilku kilometrów od Krakowa, w pobliżu Bielan jest cudowny las, zwany Wolskim. Przed kilku laty z inicjatywy śp. radcy Wobra w lesie tym pomieszczono zwierzyniec. W ten sposób i Kraków zyskał swoje Zoo...

Z początku szło to wszystko niesporo, bo brakło pieniędzy i zainteresowania ze strony publiczności, która nie bardzo wierzyła, aby gdzieś tam na odludziu dało się coś zrobić. Ale inż. Wobr nie zrażał się. Rychło w lesie znalazły się klatki i zwierzęta.

Wilki z Wileńszczyzny, jelenie z Karpat, dziki z Pomorza. Ten i ów wybrawszy się do lasu, ze zdumieniem konstatował, że pustkowie to ożywia się, a Kraków zyskuje nową atrakcję, zwierzyniec w naturalnych ramach leśnych.

Dziś pieczę nad zwierzyńcem sprawuje inż. Friedberg, człowiek niezwykle energiczny, który zerwał ze wszelkim dylentantyzmem w tej dziedzinie i urządza las celowo, z zastosowaniem wszystkich naukowych wymogów. Oglądałem przed kilku dniami jego dorobek.

Jest naprawdę imponujący. Takiego np. pomieszczenia niedźwiedzi, borsuków, czy jeleni nie powstydziłby się żadny ogród zoologiczny zagranicą.

Jest na co patrzeć, jest co zwiedzać. Tylko jedna prośba pod adresem miasta. Las Wolski musi zyskać dogodne połączenie z Krakowem, albo tramwajowe, albo autobusowe. Przejazd nie może więcej kosztować jak 20 do 30 groszy. Należałoby także wydać jakąś książeczkę, względnie przewodnik po Lesie. Nie wątpimy, że dyrektor Friedberg szybko te postulaty zrealizuje, a wtedy rozwój Lasu Wolskiego wkroczy na nowe tory.

Dokończenie ze str. 22-ej.

dzic", nie gra, tylko przewraca oczyma, rzucając głową i szczerząc białe zęby. I za to jest zaraz: wielkim, kochanym, ubóstwianym „Adamkiem" — marzeniem jasnowłosych dziewcząteк z polskiego dworku.

„Boski" Valentino był właściwie mydłkiem o dobrze wypomadowanych włosach, jakie się widzi u pomocników fryzjerskich w Italji i Hiszpanji. „Moryś" Chevalier powinien zaasekurować swoją dolną wargę, podobnie, jak to czynią z swemi nogami, ustami, czy rękami amerykańskie „stars". Gdyby bowiem nie miał tej wysuniętej dolnej wargi, którą umie tak kapitalnie poruszać, nie byłby artystą, porywającym swym humorem tłumy.

Ramon Novarro, malutki i niepokaźny chłopina, o twarzy meksykańskiego aptekarza, ma spaśną gębusię i krzyw enogi. Gdyby jego wielbicielki wiedziały, iż w czasie robienia z nim zdjęć filmowych operator musi nieustannie uważać, aby nie została uwidoczniona różnica wzrostu pomiędzy Ramonem a jego partnerką — straciłyby dlań zapewne całą sympatję.

Gary Cooper, partner Marleny Dietrich, zwany „długim chłopcem z Montany", jest w rzeczywistości straszliwie niezgrabnym drągalem, mającym niemożliwie długie nogi i ręce, z któremi nigdy nie wie, co ma robić. Albert Prejean ma kaczy nos trubadura i sylwetkę w kabłąk, pozatem głos przepitego śpiewaka ulicznego — ostatniego barda obecnego wieku.

Clark Gable, brutalny kochanek, „caveman", który — jak głoszą biuletyny propagandowe wytwórni — niewiadomo kiedy uderzy, a kiedy pocałuje kobietę — jest zupełnie brzydkim mężczyzną, a jego gra polega na marszczeniu brwi i wyrzucaniu z siebie obowiązkowego „okey!"

A zresztą, o tem już lepiej nie mówić. I mówi się, iż kobiety mają dobry gust. Trudno naprawdę uwierzyć, aby marzyły o Ramonie Novarro. Więc chyba kochają się w jego wąsiku, a raczej sławie i majątku. Jak wyglądają ideały pięknej pani XX wieku, to już wiemy. Czy nie lepiej przedstawia się sprawa wielkich „gwiazd", za któremi — dla odmiany — szaleją mężczyźni? Zdaje się, że tak.

Ale trudno, dopóki istnieć będą — jak mówi Erenburg — fabryki złudzeń — wytwórnie filmowe, dopóty kobiety całego świata szaleć będą za Novarrami, Cooperami, Broockami, Chaplinami, czy Valentinami. W szarem, spokojnie beznadziejnem życiu dalecy bogowie ekranu są jedynem zjawiskiem jasnem, pięknem i promiennem. Dlatego nie należy odbierać im tych ostatnich złudzeń. Trzeba mówić, że Novarro jest wysoki i śliczny, Brodzisz czaruje przedewszystkiem swą inteligentną grą, Prejean — śpiewa jak Kiepura. Wtedy będzie wilk syty i... Kiepura, to jest koza cała (zawsze te nawyczki reklamowe — straszne!).

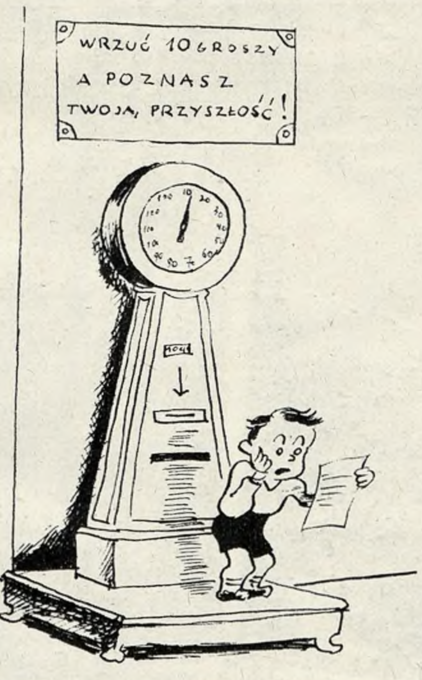
Józef Radzimiński (Lwów).

Humor.

Najważniejsze.



— Gdzie się podział mój bilet?"



„Jesteś donżuanem i pogromcą serc niewieścich, lecz miej się na baczności! Twoje ofiary zbuntują się; pewna blondynka pomści je wszystkie!..."

Skromne wymagania.



— Po ślubie muszę mieć trzy służące!

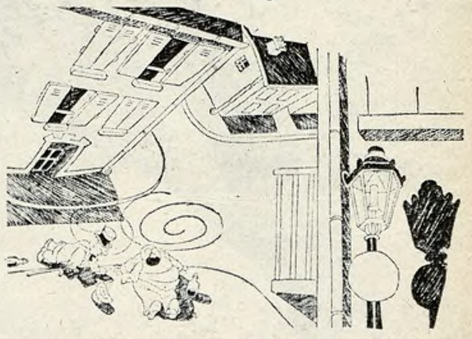
— Napewno będziesz miała więcej, tylko nie równocześnie...

W teatrze pcheł.



Dyrektor: — Niech nikt nie wychodzi; uprowadzono mi primadonnę!!!...

Pod dobrą datą.



— A zatem uwaga; jak okno czwartego piętra będzie na parterze, nabierz rozmachu i wskocz do swego mieszkania...'

PUNKT WIDZENIA.

— Wobec tego, że nasze zaręczyny zostały zerwane, zwróć pierścionek, który odemnie otrzymałeś.

— Ani mi się śni, pierścionkowi nie mam nic do zarzucenia...

NAJLEPSZY DOWÓD.

— Ten gramofon kosztuje tylko 100 złotych.

— To niemożliwe!!!

— Nie wierzysz? Mogę ci pokazać list upominalny.

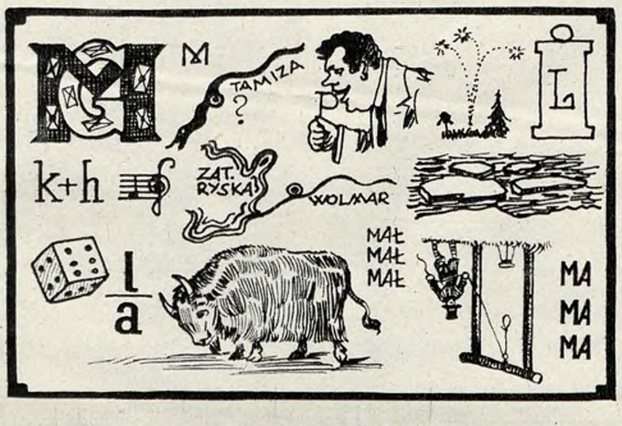
NIE DO ODCYFROWANIA.

— Przepraszam panie profesorze, ale nie mogę odczytać tego, co pan napisał pod mojem zadaniem.

— Pokaż no; tu jest napisane: „pisać wyraźniej!"

REBUS.

Z. TIETZA.



SZARADA.

(Ułoż. „HAK czł. hon. Warsz. Kl. Szar.).

Raz-druga, na lep lgnąca trucicieli
Nie zrywaj z Przodków swoich wiarą,
Raz-dwa-trzy-czwarta gdy od niej rozdzieli,
Życie się stanie męczarnią i karą.
Pięć nie **sześć-siódma-ósma** tylko jedna,
Czwór-jedenastych to straszne zlewisko;
Sześć-siódmi niemi w przepaść mkną bezedna,
Chcąc na **czternaste** zepchnąć tych, co blisko...
Wspak trzeci dzieli sąsiadów-rywali,
Lecz tę Megerę znają kraje oba;
I gdzie **wprost trzeci,** zew słychać szakali, —
Nad Wisłę, Wartę wkraść się chce — choroba...
Lecz ludek Boży wie, gdzie droga prosta,
Gdzie **czwarta-pierwsza** zdradna, przepaścista,
Z nim **raz po czwartą** wróg zgoła nie sprosta:
Ósma-dziewiąta wiara ludu czysta.
Piętnasty pokus nie zaplami duszy,
Pokuta bowiem moc szatańską skruszy.
Nie **tuzin-pierwsze** się Polaka zdrada
Dziesięć-trzynaste drugich wspak nie zmogą
Pszczelego ula, on im klęskę zada.
Żyjmy więc w zgodzie, chrońmy wiarę drogą!
W mieście, miasteczku, ubożuchnej wiosce,
Steruj nam, **dziesięć-piąta** Chrystusowa!
I w nędzy nawet, o chleb czarny trosce,
W zgodzie braterskiej przeżyjemy zdrowo!

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań, redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy należy nadsyłać najpóźniej do dnia 9 września 1933 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 33.

Cyprjan Kamil Norwid, niedoceniany poeta.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 33 nadesłali:

Mieczysław Romanowicz, Kraków; Zofja Cegielska, Poznań; **Janina Pieńkowska, Szczodrowo (zł. 26.—);** Jadwiga Lisowa, Kraków; kpt. L. Haushild, Nowy Targ; L. Pogoda, Jaworzno; K. Pycio, Pabjanice; Ginia Lichtenstein, Drohobycz; Kaz. Lilpop, Warszawa; „Manfred"; Kaz. Stankiewicz, Sosnowiec; L. Szafrański, Poznań; M. Baworowska, Sorocko; Tomasz Wołek, Katowice; Eug. Petrynowski, Kutno; „Bebe", Baranowicze; „Erka", Warszawa; Józef Czerwiński, Kowel; „Wilnianin", Dubno; Z. Pieracki, Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; Bol. Jastrzębski Wilno; Edw. Krüger, Warszawa; T. Drozdowski, Kraków; Apol. Weisłowa, Podczerwone; dr. Elż. Witkowska, Kraków; Jawnuta, Słonim; **Miecz. Marcinkowski, Inowrocław (zł. 10.—);** Irena Senze, Żychlin; A. Loeglerowa, Stanisławice; Stan. Popławski, Kutno; „Niezapominajka", „Tuberoza", Warszawa; Dor. Herbstmanówna, Warszawa; Alfr. Świtkowska, Lwów; Mich. Schmidt, Lwów; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Jad. Świerczyńska, Lwów; Mirosław Gliński, Katowice; Kamelówna, Łódź; M. Strubel, Warszawa; W. Gąsiorowicz, Łęczyca; Wład. Gajowa, Poznań; J. Maziarz, Ozorków; M. Rydlewski, Pobiedziska; H. Ulanowska, Włochy pod Warszawą; M. Frankiewiczówna, Kamionka Strum.; Filip Schleimer, Stanisławów; W. Kański, Poznań; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; J. Obtułowicz, Węgierska Górka; Władysław M., Pobiedziska; K. Puchowicz, Warszawa; Sława Haydukówna, Poznań; G. Marcinkowska, Inowrocław; M. Gawrylent, Baranowicze; Z. Trószyńska, Warszawa; W. Siuta, Kołomyja; Jawna Kowalska, Warszawa; R. Chromiński, Pruszków; W. Byrski, Dziedzice; J. Krasowska, Sambor; **Jadwiga Jackiewiczowa, Grodno** (prenumerata miesięczna „Światowida", od 1—30 września 1933); St. Leracz, Poznań; J. Dobrowolska, Toruń; Anna Papeé, Katowice; „Elceł", Warszawa; „Rozmaryn" z Wilna; W. Ciepiela, Kraków; M. Jagusiński, Kraków; M. Gębczak, Kraków; Ant.t Dominówna, Nowy Targ; Edw. Watzke, Chełmno; B. Ramultowa, Jeżów; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; L. Jasiński, Kutno; inż. J. Modrzejewski, Lublin; J. Tyblewska, Poznań; Kaz. Mirowski, Katowice; R. Kaniak, Tarnopol; R. Dergiman, Wilno; dr. H. Opielińska, Środa; L. Siuda, Poznań; Cz. Kozłowski, Warszawa; St. Bielski, Warszawa; W. Tyblewski, Poznań; Wł. Jankowski, Żywiec; W. Kortylewicz, Poznań; T. Zacherowa; S. Marynowski, Łódź; Z. Ptaszyński, Oświęcim; ks. L. Klementowski, Tarnopol.

Wlosowaniu o nagrodę los padł na pp. Janinę Pieńkowską, Szczodrowo (zł. 20.—), Miecz. Marcinkowskiego, Inowrocław (zł. 10.—) i Jadwigę Jackiewiczową, Grodno (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—30 września 1933).

Nagrody pieniężne, redakcja „Światowida" prześle niebawem.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI

Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.

Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 36 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 2-go września 1933 roku.*



TANCERKA BERBERYJSKA.